

# Antologia SF

## Różni

Książka XI z Stało się jutro



calibre 0.9.43

**STAŁO SIĘ JUTRO**

**(zbiór jedenasty)**

# ILIA WARSZAWSKI

## DUSZA DO WYNAJĘCIA

Igor Pawłowicz Tietierin, modny i cieszący się wzięciem powieściopisarz, podszedł do okna i zaciągnął grube, niebieskie story. W gabinecie od razu zrobiło się przytulniej. Tietierin uchylił drzwi do korytarza i krzyknął:

- Nadiénka! Pracuję. Niech nikt mi nie przeszkadza.
- Dobrze! - odpowiedział kobiecy głos. - Podać ci herbatę
- Proszę, ale mocną !

Wziął z rąk żony termos i zamknął drzwi na klucz. Godziny, w których Tietierin pracował, otoczone były czią. Wszyscy domownicy chodzili wtedy na palcach, rozmawiali szeptem, a telefon wędrował do kuchni. Nikt nie miał prawa niepokoić go w tym czasie. Wyjątek stanowiła piękna suka collie. Tietierin lubił w czasie pracy czuć na sobie pełne oddania spojrzenie psich oczu.

Usiadł przy stole i zaczął przeglądać nie dokończony rozdział powieści. W miarę jak czytał, na jego twarzy coraz wyraźniej wykwitał pogardliwy uśmiech. Jak zwykle nie to. Chałtura. Skoropis. Płaskie dialogi. Nie, ten rozdział trzeba pisać zupełnie inaczej. Ale jak?

Tietierin wkręcił w maszynę czystą kartkę i zamyślił się. Chciało się czegoś świeżego, własnego, a tymczasem na myśl przychodziło mu tylko to paskudztwo, które wiele już razy przeniecowali i opracowali tacy chałupnicy jak on. Oczywiście nie jest geniuszem, choć krytycy jednogłośnie uznają, że ma talent. Ale na co ten talent jest marnowany? Dziesięć książek. A wśród nich ani jednej choć trochę bardziej znaczącej. Jednodniowe ćmy. Wiecznie brakuje czasu. Zawsze poganiają człowieka terminy oddania rękopisu. Dobrze byłoby wyjechać gdzieś, gdzie diabeł mówi dobranoc, jak najdalej od wszelkich wydawnictw i umów. Leżąc na trawce myśleć, myśleć, myśleć, dopóki myśli nie staną się jasne i przejrzyste jak woda w górskim źródle.

- Widzisz, kochany - przerwał sam sobie - nawet w tym nie potrafisz się obejść bez

szablonów. Jak woda w górskim źródle! Wiecznie operujesz cudzymi słowami. Ale skąd je wziąć, te własne słowa? - Zmiał nie dokończony rozdział i z gniewem wrzucił go do kosza.

Pies, najwyraźniej wyczuwszy, że jego pan jest nie w sosie, podszedł i położył mu na kolanach głowę.

- Tak, Diana - powiedział drapiąc psa za uchem. Wszystko zdobywa się z trudem: i to mieszkanie, i dywan, na którym śpisz, i smaczne kosteczki. Za wszystko trzeba czymś płacić.

Chciał powiedzieć jeszcze coś ważnego, ale w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

- Co tam takiego?! - zapytał z rozdrażnieniem Tietierin.

- Przecież prosiłem, by mnie nie niepokojono!

- Wybacz, Igorku - powiedziała żona. - Ktoś do ciebie przyszedł. Mówiłam, że jesteś zajęty, ale on...

- Do diabła ! - Tietierin wstał i wyszedł na korytarz. Nieproszony gość właśnie zdejmował płaszcz. Na odgłos kroków odwrócił się, bez pośpiechu rozebrał, przyglądał siwe włosy i szurnął nóżką.

- Proszę mi wybaczyć, Igorze Pawłowiczu - powiedział z lekka grasejując. - Proszę nie gniewać się na mnie za tak bezceremonialne wtargnięcie. Ośmieliłem zjawić się u pana bez uprzedzenia dlatego, że moja sprawa nie cierpi zwłoki. Moje nazwisko Langbard. Łuka Jewsiejewicz Langbard, w przeszłości wykładowca chemii, a teraz emeryt. Już raz miałem honor być panu przedstawiony.

Tietierin spojrział na niego ze zdziwieniem. "Łuka Jewsiejewicz Langbard". "Miałem honor być panu przedstawiony". Wszystko to pasowało do wyglądu zewnętrznego tego człowieka.

Nieznajomy ubrany był starannie, nawet wytwornie, jeśli operować pojęciami z końca XIX wieku. Miał na sobie spodnie w paski, czarny dwurzędowy surdut z najcieńszego sukna, na szwach zresztą nieco wyrudziały, stojący krochmalony kołnierzyk z zagiętymi rogami, zamiast krawata czarną

morową wstążkę. Ubrany był w buty z zamszowymi wierzchami i mnóstwem guziczków. W ręce trzymał skórzaną walizeczkę równie staromodną, jak jego przyodziewek.

Poza tym w przedpokoju unosił się dziwny zapach ni to perfum, ni to kadzidła.

Niecodzienny wygląd gościa i ten dziwny zapach wydały się jednak Tietierinowi dziwnie znajome:

- Proszę! - powiedział przepuszczając Langbarda przodem. W drzwiach gabinetu wydarzyło się coś, co wprawdzie nie miało większego znaczenia, ale mimo wszystko zdziwiło Tietierina. Diana,

która zazwyczaj odnosiła się do wszystkich obcych z wyniosłą obojętnością, rzuciła się na spotkanie Langbardowi i zaczęła go obwąchiwać, z jakimś dziwnym zapamiętaniem szturchając nosem jego spodnie i surdut.

- Diana, na miejsce! - krzyknął Tietierin, ale na psie nie zrobiło to żadnego wrażenia. - Do kogo mówię? Na miejsce! - trzepnął ją lekko. Diana jeszcze kilka razy konwulsyjnie pociągnęła nosem, a potem obojętnie ziewnąwszy położyła się na dywanie nie spuszczając oka z Langbarda.

- Proszę wybaczyć! - powiedział Tietierin. - Ona nigdy nie pozwala sobie na takie rzeczy.

Wprost nie mogę zrozumieć...

- Zapach - przerwał mu Langbard siadając na krześle. Nie ma w tym niczego dziwnego, po prostu zapach. Zwierzęta go lubią. A więc nie pamięta mnie pan... Brzmiało to raczej jak twierdzenie niż pytanie.

- Chwileczkę... - Tietierin przysłonił dłonią oczy. Nie wiadomo czemu bardzo chciał sobie przypomnieć, gdzie też widział tę niezgrabną postać w surducie, twarz ze spiczastym nosem, rzadkie siwe włosy i pozbawione krwi ręce z długimi palcami. I ten zapach... Wciągnął słaby aromat kadzidła

i nagle wszystko w dziwny sposób rozjaśniło się w jego głowie.

... To był jeden ze zgiełkliwych wieczorów u niego w domu, zdaje się, że z okazji wyjścia

jakiejś książki. Dużo pili, powtarzali plotki z literackich kręgów, obgadywali nieobecnych, na kogoś z przyzwyczajenia klęli, kogoś innego tradycyjnie chwalili. Koło dwunastej w nocy w pokoju stołowym nie było czyn oddychać od zapachu cebuli, rozlanej wódki, rozgrzanych ciał i tytoniowego dymu. Otworzyli okno, ale i to nie pomogło. Lepka mgła nasycona parami benzyny nie była wcale lepsza. Tietierin zapalił świece, żeby choć trochę odświeżyć zadymione powietrze. Zaczęły się rozmowy o tym, że współczesna cywilizacja pozbawia nas naturalnej radości życia, że cóż nam po osiągnięciach kultury materialnej, skoro wkrótce nie będzie już czym oddychać, że gdyby posadzić tu pierwotnego człowieka, godziny by nie przeżył, i tak dalej.

Wtedy właśnie już dobrze podpity Tietierin wbrew wszystkiemu temu, co powiedziano wcześniej, oznajmił, że on nigdy nie zamieni samochodu na prawo biegania nago po lesie i że w ogóle jeszcze nie wiadomo, czym tam pachniało w tych dawnych lasach. Kto wie, czy nie śmierdziało w nich gorzej niż w naszym mieście.

I wtedy podniósł się ten staruszek w surducie. Nie wiadomo, kto go przyprowadził. Przez cały wieczór nie odezwał się słowem, a tu nagle zabrał głos:

- Chce pan wiedzieć, czym pachniało w tych lasach? Wyjął z kieszeni bursztynową cygarniczkę i podniósł ją ku świecy.

I bądź to dlatego, że zapach palącej się żywicy tak bardzo niepodobny był do wszystkich tych zapachów wulgarnej pijatyki, bądź dlatego, że ludzie poczuli w nim głębię milionów lat, wszyscy jakoś przycichli i wkrótce w milczeniu rozeszli się...

- Przypomniałem sobie ! - powiedział Tietierin. - Pan palił u mnie bursztyn. I ten zapach...

- Zgadza się ! - przytaknął Langbard. - Właśnie zapach. Uciekłem się do niego, bo inaczej nigdy by pan sobie nie przypomniał. A więc, Igorze Pawłowiczu, przyszedłem do pana w bardzo ważnej i mam nadzieję interesującej nas obu sprawie. Do pana dlatego, że jest pan pisarzem, i to dość

znanym.

Tietierin uklonił się.

- Jednakże - kontynuował Langbard - pisarzem, szczerze mówiąc, talentem nie błyszczącym.

- Takich rzeczy nie mówi się ludziom w oczy - uśmiechnął się krzywo Tietierin. - Dam panu radę : niech się pan wystrzeżga mówienia kobiecie, że jest brzydka, a pisarzowi, że źle pisze. Takiej szczerości się nie wybacza. Poza tym nawet brzydka kobieta ma wielbicieli, natomiast każdy pisarz czytelników. Żywię zresztą nadzieję, że pańską opinię wypowiedzianą w tak kategorycznej formie podzielają nie wszyscy. Daleko nie wszyscy. - Wysunął szufladę stołu. Oto jedna z teczek z listami czytelników; lektura tych listów powinna przekonać pana...

- Niechże się pan zlituje! - skrzywił się Langbard. - Po co ta ambicja? Przecież sam pan wie, że nie jest geniuszem, a listy... piszą je tylko durnie. Nie, szanowny Igorze Pawłowiczu, nas czeka rozmowa o rzeczy delikatnej i nieuchwytniej, którą czasami nawet myślą trudno jest ogarnąć. Niech więc da pan spokój z fałszywą afektacją i ambicją na jakiś czas schowa w kieszeni. Proszę mi wierzyć, tak będzie lepiej.

- O czym więc chce pan ze mną rozmawiać?

- O duszy.

- O mojej duszy?

- Tak w ogóle, to o duszy w znacznie szerszym znaczeniu, ale między innymi i o pańskiej.

To stawało się zabawne.

- Proponuje mi pan interes? - zapytał uśmiechając się Tietierin.

- Po części tak - przytaknął Langbard. - Może pan to uważać za interes.

Tietierin wstał i przeszedł się po gabinecie. - Drogi Łuko...

- Jewsiejewicz.

- A więc, drogi Łuko Jewsiejewiczu. Nie kryję, że gotów jestem sprzedać duszę za ów talent, którego pan u mnie nie dostrzega, ale niestety towar ten nie jest teraz w cenie. Poza tym, proszę mi

wybaczyć, nie nadaje się pan do roli Mefistofelesa. Dziękuję więc panu za dobry żart i jeżeli nie ma pan do mnie innych spraw, to...

- Niech pan siada! - powiedział spokojnie Langbard. Zawsze trudno jest mi się skupić, kiedy ktoś łazi mi przed oczyma. A przecież jeszcze nie przystąpiliśmy do omawiania sprawy, która mnie sprowadza: Źle mnie pan zrozumiał. Ja mówię o duszy nie w aspekcie teologicznym, lecz czysto literackim. Przecież jako literat zajmuje się pan właśnie tym. Interesują pana dusze pańskich bohaterów, czyż nie?

- Wolę słowo "charaktery". Owszem, nie bez powodu przecież nazywa się literaturę studium ludzkich charakterów. Ale zdradzę panu pewien profesjonalny sekret. Jeżeli postanowiwszy pisać powieść zgromadzi pan kolekcję charakterów, dajmy na to, ludzi dobrze sobie znanych, to wszyscy jednym głosem będą twierdzić, że charaktery te są prymitywne, szablonowe, że tacy ludzie nie istnieją i tak dalej. Jeśli natomiast wyssie pan wszystko z palca, to charaktery zostaną uznane za ostre, typowe i Bóg wie jeszcze jakie. To głupie, ale taka jest specyfika naszej pracy.

- Prawidłowo ! - zatarł ręce Langbard. - Całkiem prawidłowo ! Prawdziwy artysta kreuje duszę bohatera, natomiast pan i panu podobni bawicie się charakterami.

- Nie widzę różnicy - powiedział oschle Tietierin. Dusza, charakter, czyż to nie to samo?

- Wcale nie! - zaproponował Langbard. - Charakter to to, co ujawnia się w człowieku każdego dnia, a dusza... Któż wie, co się dzieje w głębi ludzkiej duszy? Jakie namiętności, wady i nie wykorzystane rezerwy kryją się za fałszywą fasadą tak zwanego charakteru? Dlaczego człowiek odważny, morowy chłop, tchórzliwie ucieka z pola bitwy, a bojaźliwy, nieśmiały melancholik przykrywa swoim ciałem strzelnicę bunkra? Gdzie do tego momentu kryły się w ich charakterach te cechy, które ujawniły się dopiero w wyjątkowych okolicznościach? Charaktery! O wiele prościej jest

operować archaicznymi określeniami. Niech pan pisze, że Iwan Pietrowicz to sangwinik, a Piotr Iwanowicz - choleryk. Trudno wyobrazić sobie coś głupszego ! Przecież w ten sposób nie można



klasyfikować nawet psów. Może mi pan wierzyć - w duszy tej pańskiej Diany więcej jest niezbadanych tajemnic niż w duszach wielu bohaterów literackich. Na pewno cechują ją i ofiarność, i obłuda, i zawiść, i wiele innych rzeczy, których pan czasami nie dostrzega nawet u ludzi.

Tietierin powoli zaczynał wpadać w rozdrażnienie.

Wydawało mu się, że Langbard przez cały czas usiłuje go poniżyć.

- Obawiam się, że jeszcze trochę i zabrnjemy w ślepą uliczkę - powiedział. - Jeśli ma pan do mnie jakiś interes, proszę powiedzieć, o co chodzi, bo te rozmowy do niczego nie prowadzą.

Rozumując w ten sposób jeszcze trochę rzeczywiście ustalimy, że psy posiadają dusze i że dusze są nieśmiertelne.

- Oczywiście! - uśmiechnął się Langbard. - Właśnie do tego zmierzam. Czyż stworzone przez geniusz Szekspira dusze Otella, króla Lira, Shylocka nie są nieśmiertelne?

- No, to zupełnie co innego.

- Dlaczego co innego? Przecież po to, by stworzyć duszę Hamleta, a propos, niech pan zauważy, że wyrażenie "charakter Hamleta" jest tu zupełnie nie na miejscu, tak więc, aby stworzyć duszę Hamleta, Szekspir na jakiś czas sam musiał stać się Hamletem, ożywić w swej duszy struny, które dotąd prawdopodobnie milczały, Człowiek z duszą Shylocka nie napisałby Hamleta. I tak jest zawsze. Za każdym razem mamy do czynienia z pełnym przeobrażeniem się autora. Wszystko to, co zostało stworzone przez Szekspira, stanowi odbicie duszy artysty, która rozwinęła wszystkie swoje możliwości. Oto pańska nieśmiertelność duszy.

Tietierin demonstracyjnie spojrział na zegarek.

- Wszystko to wyświechtane komunały - powiedział ziewając.

- Niestety Szekspir nie rodzi się codziennie, a dla nas grzesznych podobne przeobrażenie się jest ponad siły.

- Bzdura - z przekonaniem powiedział Langbard. Każdy jest do tego zdolny. Na tym właśnie

polega istota mojego wynalazku.

- Co?! - Tietierinowi wydało się, że się przesłyszał. - Co pan powiedział? Jakiego wynalazku?

- Tego, który mam w walizce.

- Nie, to się staje po prostu nie do wytrzymania ! Tietierin złamał kilka zapalek, zanim zapalił papierosa. Nie dość, że zajął mi pan mnóstwo czasu, to jeszcze, proszę, niespodzianka ! Wynalazca - samotnik ! Tu nie biuro patentowe. Uprzedzam, na technice się nie znam i żeby nie wiadomo co opowiadał pan o swoim wynalazku i tak nic nie zrozumieć. Ponadto jestem zajęty, mam coś do zrobienia. Jest mi bardzo przykro, ale...

- A palenie trzeba będzie rzucić - powiedział Langbard.

- Zapach tytoniowego dymu będzie przeszkadzać.

- W czym, do diabła, będzie przeszkadzać?! - wrzasnął rozwścieczony Tietierin. - Jakim prawem prawi mi pan morały?! Sam wiem, co mam robić, a czego nie robić!

- W naszym doświadczeniu będzie przeszkadzać kontynuował tak, jak gdyby nic się nie stało, Langbard. Z tytoniu i alkoholu trzeba będzie zrezygnować.

- Uff! - Tietierin odchylił się w krześle i wytarł chusteczką czoło.

- Ma pan w nim herbatę? - zapytał Langbard pokazując na termos.

- Herbatę.

- Niech się pan napije, to pomaga.

Począł, aż Tietierin nalał sobie szklankę herbaty.

- A więc tak, Igorze Pawłowiczu. Czy chce pan, czy nie, będzie mnie pan musiał wysłuchać, chociażby dlatego, że cała pańska przyszłość jako pisarza została postawiona na jedną kartę. Mam kontynuować?

Tietierin machnął ręką.

- A więc rozmawialiśmy z panem o przeobrażeniu duszy pisarza, a dokładniej, o

wykorzystaniu jej ukrytych rezerw. Grać na strunach duszy. Jak to dobrze powiedziane. Niestety nie każdemu jest to dane. Niekiedy potrzebne są do tego zewnętrzne bodźce. Czy nie zauważył pan na przykład, że czasami jakaś melodia budzi w pańskiej duszy drzemiące w niej dotąd uczucia?

- Nie wiem. Ja źle odbieram muzykę.

- Tym lepiej ! A więc jest to u pana, w większym stopniu aniżeli u ludzi muzykalnych, zrekompensowane podwyższoną wrażliwością na zapachy.

- No i co z tego?

- Rzecz w tym, że zapachy mogą oddziaływać na psychikę tak samo jak muzyka. Zapachy mogą wywoływać smutek, radość, wesołość, a w określonych warunkach nawet bardziej skomplikowane uczucia. Wiedzieli o tym dobrze kapłani starego Egiptu. Dysponowali oni sekretem aromatów ekstazy religijnej, strachu, poświęcenia itd. Przeanalizowałem duchowy nastrój podstawowych bohaterów literackich i sporządziłem mieszanki substancji aromatycznych zdolne wywoływać odpowiedni kompleks emocji. Proszę, niech się pan przekona! - Langbard otworzył walizeczkę i wyjął z niej kilka buteleczek po lekarstwach.

- Rozmawialiśmy z panem przed chwilą o Szekspirze. Zechce pan zwrócić uwagę na etykiety. Król Lir, Hamlet, Otello... Wystarczy powąchać, by wprowadzić się w stan duchowy jednego z tych bohaterów. Dobrze, co?

- Bzdury! - powiedział Tietierin. - Nawet gdyby rzecz się miała tak, jak pan mówi, w co szczerze mówiąc wątpię, to co komu po pańskim wynalazku. Nie będę przecież jeszcze raz pisać Otella. A gdybym nawet chciał, to musiałbym wąchać to flakon z Jago, to z Desdemoną i Bóg wie jeszcze z kim. No, a co zrobić w wypadku dialogu? Wąchać flakony na zmianę? Nie, pański pomysł jest niepraktyczny, a poza tym nienowyy. Historia zna ludzi, którzy w czasie tworzenia sięgali po narkotyki; zawsze źle się to kończyło. Na przykład...

- Chwileczkę ! - przerwał mu Langbard. - Umówimy się, że nie będziemy wygłaszać

pochopnie opinii, dobrze? Każdy pomysł musi się sprawdzić w praktyce, zgadza się?

- Przypuśćmy.

- Oto fragment pańskiej powieści "O świcie" - Langbard wyjął z kieszeni kilka kartek maszynopisu. - Pamięta pan scenę, w której Rubcow rozmawia z żoną? Tę, w której mówi ona, że odchodzi do innego? Sytuacja, jeśli mam być szczery, nie grzeszy oryginalnością.

Tietierin zachmurzył się.

- Przez cały czas usiłuje pan mnie dotknąć. No dobrze, nie jestem geniuszem. Ale czy wie pan, że pańskiemu ukochanemu Szekspirowi, po którym, jak twierdzą niektórzy, nie pozostał ani jeden nie wykorzystany temat, również zarzucano korzystanie z cudzych pomysłów? Nic na to nie poradzę, że trójkąt małżeński był przez wszystkie czasy podstawowym tematem w literaturze. Takie jest życie. A to, że nie każdemu udaje się napisać "Annę Kareninę"...

- Bzdura ! - przerwał mu Langbard. - Temat, fabuła wszystko to są środki, a nie cel. Ja mówię nie o tym, że mimo woli wykorzystał pan wątek "Anny Karminy", tylko o tym, że nie potrafił pan stworzyć wartościowej duszy swojej bohaterki.

- Nie potrafiłem, i co z tego?

- A to, że powinien był ją pan sobie wypożyczyć.

- I napisać nową "Annę Kareninę" ?

- W żadnym wypadku ! Proszę popatrzeć, co zrobiłem z pańską powieścią. Zderzyłem w tym konflikcie dwie dusze lub, wyrażając się pańskimi słowami, dwa charaktery: Anny Karminy i Iwana Karamazowa.

- Krótko mówiąc, stworzył pan hybrydę Tołstoja z Dostojewskim, czy tak?

- Nie, stworzyłem nowego Tietierina. Ani Dostojewski, ani Tołstoj nie podołaliby temu zadaniu. Zbyt się od siebie różnili. A ja wziąłem pańskie wypociny, wprowadziłem się w stan duchowy Anny, poprawiłem część tekstu, a następnie przeredagowałem wszystko jako Karamazow.

- Hmm-tak... - powiedział Tietierin. - Z tego rodzaju plagiatem nie miałem jeszcze do czynienia. Pan jest albo wariatem, albo...

- Niech się pan powstrzyma z wydawaniem sądów przed przeczytaniem. Co zaś się tyczy plagiatu, to jest najszlachetniejsza jego odmiana, gdyż tworzy pan zupełnie nowe dzieło, i to na dodatek wysokiego lotu.

- Ciekawe ! - Tietierin wziął rękopis i otworzył go na pierwszej stronie.

- Nie, nie! - krzyknął Langbard. - Przeczyta go pan wtedy, kiedy będzie pan sam.

Prawdopodobnie z początku trudno się będzie przyzwyczać i trzeba będzie czytać kilka raty.

Zostawiam wszystko - i buteleczki, i rękopis. Tu, w rogu, zapisałem swój numer telefonu. Zadzwoń pan do mnie i znów się spotkamy. A na razie - wstał i znów szurnął nóżką - życzę panu owocnych twórczych rozmyślań! Początkowo wszystko to wydawało się Tietierinowi zlepkim bzdur. Z jakimś dziwnym zadowoleniem podkreślał czerwonym ołówkiem błędy stylistyczne. Ale w miarę tego, jak wczytywał się w tekst, jego twarz stawała się coraz bardziej zatroskana. Urwane monologi, wielokrotnie powtarzające się słowa, chropowaty język - miały w sobie zadziwiającą siłę. Tak pisać mógł tylko prawdziwy mistrz. Raz po raz wertował kartki i za każdym razem odkrywał coś nowego, coś, co umknęło jego uwadze podczas poprzedniego czytania. Jakże to różniło się od przybliżonej tietierinowskiej prozy !

Przez cały wieczór chodził roztargniony po pokoju to biorąc jedną z buteleczek z zamiarem natychmiastowego wypróbowania działania tego diabelskiego napoju, to znów z jakimś zabobonnym strachem odstawiając ją na miejsce. Na koniec, całkowicie wyczerpany, położył się spać w gabinecie postanowiwszy odłożyć wszystko do jutra. Śmierć Tietierina wywołała falę nieprawdopodobnych plotek. Mówiono, że znaleziono go rano na łóżku z podgryzionym gardłem. U wezłowia leżał jego ulubiony pies. Tuż obok niego, na podłodze, w kałuży ostro pachnącego płynu wałała się roztrzaskana buteleczka z napisem: Lady Mackbet.

przekład : Michał Siwiec

**WŁADLEN BACHNOW**

# ZGODNIE Z NAUKOWYMI DANYMI

W środku nocy obudził mnie jakiś głośny brzęk. Nie otwierając oczu starałem się ustalić, co to takiego. W końcu domyśliłem się, że ktoś natarczywie dobija się do mego okna. Było to dziwne. Nawet bardzo dziwne, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że mieszkam na trzydziestym szóstym piętrze. Klnąc ile wlezie wyskoczyłem z łóżka i rozsunałem story. Za oknem, w pobliżu parapetu, stał człowiek. Właściwie nie tyle stał, co prawie nieruchomo wisiał w powietrzu. A nad głową tego dziwnego człowieka w srebrnej aureoli wschodził księżyc zalewając chłodnym światłem jego łysinę. Muszę przyznać, że się trochę speszyłem. Zobaczywszy mnie, ten za oknem radośnie zamachał rękami i straciwszy równowagę wzbił się do góry, potem poleciał w dół, by w końcu znów zawisnąć przede mną w poprzedniej pozycji.

- Co pan tu robi? - zapytałem surowo uchylając lufcik.

- Zaraz panu wszystko wytłumaczę. - Zbliżył się do lufcika. - Jeśli się nie mylę, jest pan astronomem, prawda?

- No i co z tego?

- Specjalistą od obcych cywilizacji?

- Owszeln - odpowiedziałem jeszcze bardziej zdziwiony dokładnością posiadanych przezeń informacji.

- Cudownie. A więc jest pan tym człowiekiem, którego mi potrzeba! Bo jest pan człowiekiem, prawda?

- Rozwinie się.

- A ja jestem Turianinem, mieszkańcem planety Tur. Mówi to panu coś?

- N-nie...

- Nieważne. Prawdopodobnie nasza planeta znana jest u was pod inną nazwą. A propos, jak się nazywa wasze ciało niebieskie? - zapytał próbując wcisnąć głowę w lufcik.

- Ziemia.

- Zie-mia? Ziemia! Pierwsze słyszę. Ale rzecz nie w tym. Gdyby był pan uprzejmy wpuścić mnie do pomieszczenia...

- Ależ oczywiście, oczywiście! - Pośpiesznie otworzyłem okno: kontynuowanie rozmowy z gościem z innej planety przez lufcik byłoby po prostu nieprzyzwoite.

- Jestem panu bardzo wdzięczny - ceremonialnie uklonił się Turianin i starannie wytarłszy nogi na parapecie wleciał do pokoju.

Ubrany był lekko. Jasne pasiaste spodenki z kieszonkami na guziczki oraz gumowe pletwy - to chyba było wszystko, co miał na sobie. Jeśli nie liczyć wytatuowanego na prawej ręce słowa "Katia", a na lewej - "Zina".

- Pozwoli pan, że usiądę - powiedział ze zmęczeniem i opadłszy na krzesło zamknął oczy. -

Aż trudno uwierzyć, że ocalałem. Gwiazdolot przestał słuchać sterów. Spadaliśmy przez całą wieczność, by w końcu ostatniej nocy wyrznąć w waszą planetę. Bo wasze ciało niebieskie to planeta, prawda? - nagle przestraszył się Turianin.

- Oczywiście, że planeta.

- Jak to dobrze!... Na szczęście wpadliśmy do morza czy też... Jak się u was nazywają największe zbiorniki wodne?

- Oceany.

- Tak, tak. Wpadliśmy do oceanu i poszliśmy na dno. Z całej załogi uratowałem się tylko ja jeden. To straszne, straszne...

Gdybym nie widział na własne oczy, jak ten człowiek spacerował sobie w powietrzu na wysokości trzydziestego szóstego piętra, oczywiście nie uwierzyłbym w jego opowieść. Ale przecież, do diabła, widziałem...

W tej samej chwili gość jakby odgadując moje myśli otworzył oczy i popatrzył na mnie



badawczo.

- Przepraszam - powiedział - jak się nazywa uczucie, które w tej chwili wyraża pańska twarz?

- Najprawdopodobniej zdziwienie - przyznałem się.

- A co pana dziwi?

- Bardzo wiele rzeczy. Na przykład to, kiedy zdążył się pan nauczyć naszego języka? Czy to nie dziwne?

- A czyż nie jest dziwne to, że w ogóle jestem podobny do człowieka? Stykał się pan na innych planetach z istotami zewnętrznymi podobnymi do ludzi?

- Nie.

- A więc obowiązany jestem panu powiedzieć, że my, mieszkańcy planety Tur, jesteśmy zupełnie niepodobni do tego wszystkiego, co znacie. Ale dzięki osiągnięciom naszej wielkiej nauki nauczyliśmy się transformować i przyjmować dowolną formę, co oczywiście bardzo ułatwia nam kontakty z innymi cywilizacjami. Przeobrażamy się błyskawicznie. Kiedy na przykład wypływałem z zatopionego gwiazdolotu, spotkałem po drodze mnóstwo różnych pływających stworzeń. Siłą rzeczy pomyślałem sobie, że prawdopodobnie to one właśnie są podstawowymi mieszkańcami planety.

- Mówi pan o rybach?

- Właśnie. Natychmiast przyjąłem kształt pewnej dużej ryby, ale w tej samej chwili o mało nie zostałem połknięty przez jeszcze większą przedstawicielkę tego gatunku prymitywnych kręgowców. Wtedy pośpiesznie wyostałem się na brzeg i by nie zostać przez przypadek zjedzonym, zamieniłem się w kamień. Ponieważ jednak znam światy, gdzie jada się tylko kamienie, przekształciłem się w kamień niejadalny. Rano na brzegu pojawiły się inne istoty. Aby po raz drugi nie popełnić błędu, uważnie obserwowałem je przez cały dzień i wreszcie doszedłem do wniosku, że są to mimo wszystko przedstawiciele cywilizacji rozumnych istot. Wtedy przekształciłem się w

dokładną kopię jednego z nich. - Ach, tak ! - roześmiałem się. - Teraz rozumiem, dlaczego jest pan tak dziwnie ubrany: pletwy, spodenki kąpielowe...

- A o co chodzi? - poważnie zaniepokoił się Turianin. Z moim strojem jest coś nie w porządku?

- Nie, nie. Pański strój jest odpowiedni na plażę, ale nie nadaje się na wieczorne spacer. Nie boi się pan przeziębienia?

- Przepraszam, nie zrozumiałem pańskiego pytania.

- Nie jest panu zimno?

Turianin zamyślił się.

- Jeśli dobrze pana zrozumiałem, pyta pan, czy nie odczuwam tego, że temperatura powietrza jest niższa od temperatury mego ciała? Owszem, odczuwam tę różnicę, ale budzi ona we mnie raczej wstręt aniżeli pozytywne emocje. - W takim razie mogę panu zaproponować szlafrok.

- Co to takiego szlafrok? Ach, to co ma pan na sobie. Tak, to chyba będzie odpowiednie. - I

Turianin natychmiast obrósł takim samym szlafrokiem. - Ale wracajmy do rzeczy. Niestety jesteśmy bardzo ograniczeni czasem. Liczy się każda minuta. Przecież ja jeszcze nie powiedziałem panu, na czym polega najważniejsza i najtragiczniejsza różnica pomiędzy naszym światem a waszym. Tylko proszę pana, niech się pan nie przeraża. Wiecie, że prócz materii istnieje antymateria?

- Oczywiście.

- A więc zgodnie z danymi naszej nauki Tur zbudowany jest z antymaterii. Ja, oczywiście, również.

- Pan jest z antymaterii? - powtórzyłem odsuwając się od niego odruchowo.

- Właśnie.

- W takim razie w jaki sposób kontaktujemy się ze sobą? Przecież zetknięcie się materii z antymaterią powinno niechybnie doprowadzić do eksplozji.

- Zgadza się. Ta istotna okoliczność przez długi czas stanowiła przeszkodę w naszych kontaktach z innymi światami. Ale turiańscy uczeni skonstruowali automatyczne przeobrażacze, które przekształcają antymaterię w materię i na odwrót. Przeobrażacze robią to bez naszego udziału i naszej wiedzy, samodzielnie określając, jacy powinniśmy być w danym momencie: materialni czy antymaterialni.

Nam pozostaje tylko od czasu do czasu poddawać się działaniu promieniowania przeobrażacza, i to wszystko. Ale teraz mój przeobrażacz znajduje się na dnie oceanu, a okres działania ostatniej dawki promieniowania kończy się. Grozi mi to, że wkrótce znów przekształcę się w antymaterię. Wyobraża pan sobie, jaki będzie fajerwerk? Zresztą jeśli pan chce, mogę dość dokładnie obliczyć siłę eksplozji. Proszę dać mi ołówek... A więc tak. Bierzemy masę mego ciała i mnożymy przez...

- Niech pan przestanie liczyć ! - zaczynałem się denerwować. - Czy nic nie można wymyślić, aby panu pomóc? Ile zostało czasu do tej... no, do pańskiej antymaterializacji?

- Dwie godziny trzydzieści minut - spokojnie odpowiedział Turianin. - Ale wymyślać niczego nie trzeba. Dzięki bogu, ocalała radiostacja - nie wiadomo czemu poklepał się po brzuchu.

- Wezwę nasze pogotowie ratunkowe i przybędą po mnie. - Przybędą? Za dwie godziny?

- Dlaczego za dwie godziny? - zdziwił się z kolei Turianin. - Znacznie wcześniej. Przecież to pogotowie ratunkowe! Ale żeby mnie odnaleźli, muszę przekazać na Tur swe koordynaty: rejon galaktyki, gwiazdozbiór, gwiazdę, planetę, szerokość, długość geograficzną i numer domu.

A przecież ja zielonego pojęcia nie mam, gdzie mnie zaniósł. Nawet się nie domyślam, Czy to nasza galaktyka, czy obca. I dlatego z pomocą przyjść mi może tylko astronom. Gdyby nie ta ważna okoliczność i niebezpieczeństwo bliskiej antymaterializacji, nigdy bym się nie odważył niepokoić pana o tak późnej porze. Jeszcze raz proszę o wybaczenie.

- To głupstwo, głupstwo! - szybko uspokoiłem gościa. Lepiej uściślijmy nasze koordynaty i

wezwijmy to pańskie pogotowie.

- Tak, tak! Bo szczerze mówiąc, bardzo bym nie chciał eksplodować przed ich przybyciem, i to jeszcze w pańskim gościnnym domu. Proszę dać mi mapę galaktyki.

Pośpiesznie otworzyłem gwiazdny atlas. Turianin ze skupieniem wpatrzył się w mapę i w końcu pokazawszy palcem centrum galaktyki powiedział:

- Moja planeta znajduje się tu. Ach Tur, Tur! westchnął. - To daleko od waszej planety?

Nie od razu zdecydowałem się odsłonić mu straszną prawdę.

- No, dlaczego pan milczy?

- Pańska planeta... - zacząłem ochryplym głosem i odkaszlnąłem. Głos haniebnie mi drżał: -

Pańska planeta znajduje się w odległości trzydziestu tysięcy lat świetlnych. - Trzydziestu tysięcy?

Ależ dla pogotowia ratunkowego ta odległość jest do pokonania. Postaramy się tylko szybciej przekazać koordynaty. Niech pan pokaże, gdzie leży wasza planeta.

- Ziemia znajduje się mniej więcej w tym miejscu powiedziałem i wskazałem ledwie widoczną kropkę oznaczającą nasze Słońce.

- Gdzie, gdzie? - przeprosił zatroskany Turianin. - Tu - powtórzyłem.

- To niemożliwe - uśmiechnął się Turianin. - Coś pan płacze.

Jego słowa wydały mi się obraźliwe.

- Dwadzieścia pięć lat zajmuję się astronomią i wystarczająco dobrze wiem, gdzie znajduje się Ziemia. - Bzdura! Zgodnie z danymi naszej nauki w tej części galaktyki, gdzie, jak pan mówi, jakoby znajduje się wasza planeta, nie ma i nie może być w ogóle żadnego życia.

A w ogóle wasza planeta to nie planeta, jak błędnie sądzicie, lecz mgławica gazowa. Tak twierdzi nasza nauka. Współczuję wam, ale, nic na to nie poradzę.

- A czyż turiańscy uczeni nie mogą się mylić?

- Bardzo proszę uważać na to, co pan mówi - ostro zareagował gość. -. Niech pan nie

zapomina, że mówi pan o turiańskiej nauce!

- No dobrze, nie będziemy się spierać. Niech pan wzywa wasze pogotowie ratunkowe i tyle!

- Ale co pan?! Jak mogę wezwać pogotowie na planetę, która zgodnie z danymi naszej nauki nie może istnieć? Przecież to absurd !

- A to, że znajduje się pan na takiej planecie, która zgodnie z danymi waszej nauki nie istnieje, to nie absurd?! - wrzasnąłem. - Znajduje się pan tu czy nie?

Turianin zamyślił się. Myślał długo. A ja wprost fizycznie czułem, jak zbliża się ten straszny moment, kiedy mój gość zantymaterializuje się...

- Owszem, znajduję się na tej planecie - powiedział w końcu - ale to nie może obalić danych naszej nauki, świadczących o tym, że wasza planeta nie istnieje. Położenie stawało się beznadziejne. Chaotycznie myślałem, co robić.

- Jest prosty sposób sprawdzenia tego, kto z nas ma rację. Niech pan natychmiast wzywa pogotowie ratunkowe podając koordynaty Ziemi. Jeśli Ziemi nie ma, pogotowie nie znajdzie pana.

Jeśli natomiast Ziemia istnieje, odnajdą pana i szczęśliwie wróci pan na swój rodzinny Tur.

Ale co potem? Zostanę oskarżony o herezję i niewiarę w naszą naukę. Nauka, powiedzą, twierdzi, że Ziemia nie może istnieć, a on, widzicie go, spadł na Ziemię. On, widzicie go, wierzy własnym oczom i własnym subiektywnym odczuciom bardziej niż obiektywnym danym naszej nauki ! Czy pan rozumie, czym to pachnie? Nie, już wolę eksplodować !

- W takim razie proszę, by się pan natychmiast stąd zabierał! Przecież umie się pan poruszać w powietrzu. Niech więc pan leci jak najdalej od miasta i eksploduje, jeśli ma pan na to ochotę! - I otworzyłem okno. Turianin podszedł i zamknął je.

- Wieje! - wyjaśnił siadając znów na krześle i otulając się szlafrokiem. - Kto panu powiedział; że chcę eksplodować? Ja powiedziałem tylko, że wolę. A to, mój przyjacielu, nie to samo. Po prostu nie widzę wyjścia z mojej beznadziejnej sytuacji. A poza tym czemu boi się pan, że eksploduję?

Przecież pana nie ma !

- Zgodnie z danymi waszej nauki?

- Właśnie.

- A więc kto minutę temu otwierał okno?

- Pan.

- Ale jak mogłem to zrobić, skoro mnie nie ma?

Turianin znów się zamyślił. A tymczasem eksplozja zbliżała się nieubłaganie.

- Rzeczywiście - odezwał się. - Aby obiekt mógł wykonać jakąś czynność, musi istnieć. To rzecz bezsporna. Ale z drugiej strony, zgodnie z danymi naszej nauki, obiekt ten nie istnieje. A skoro tak twierdzi nauka, jak wytłumaczyć tę sprzeczność? Czy może być to, czego być nie może? Czy może istnieć to, co nie istnieje?

- Może! - powiedziałem z przekonaniem, gdyż jak mi się wydawało, zrozumiałem, w czym leży moja jedyna szansa na ocalenie. - Oczywiście, że może. Przecież istnieje, na przykład, niebyt. I my możemy znajdować się w stanie niebytu. To znaczy istnieć w tym stanie, choć w rzeczywistości nie istniejemy.

- Tak, tak - zgodził się ze mną zdetonowany Turianin, a ja, nie dając się mu opamiętać, kontynuowałem:

- Teraz zrozumiałem, że wasza nauka miała absolutną rację, stwierdzając bezspornie, że nie istniejemy.

- A co, przecież mówiłem! - podskoczył Turianin.

- I miał pan rację. Ale jest materia i antimateria. Jest byt i niebyt. A Ziemia istnieje właśnie w niebycie, co też podkreślała wasza wielka nauka.

Tak, to była moja jedyna szansa : nie kłócić się, lecz zgadzać z nim.

- Teraz to genialne założenie waszej nauki będzie mógł pan potwierdzić konkretnymi

danymi, gdyż przebywał pan na nieistniejącej planecie, kontaktował się z jej nieistniejącymi mieszkańcami i sam widział te nieistniejące rzeczy, których nieistnienie głosi wasza nauka ! Byłoby rzeczą niewybaczalną i niepatriotyczną, gdyby pozwolił pan sobie na eksplozję, a tym samym zniszczenie tak cennych naukowych danych.

Najwyraźniej strach przed wyleceniem w powietrze stokrotnie zwiększył moje oratorskie możliwości. Turianin słuchał mnie nie przerywając, a kiedy kończyłem, zauważył z zadowoleniem - Przyjemnie jest mieć do czynienia z rozumną istotą! Niech pan szybko daje wasze koordynaty. I proszę nie zapomnieć podać numeru mieszkania, żeby pogotowie ratunkowe nie musiało szukać mnie po całym domu. Mamy niewiele czasu. Prosiłbym również, aby oddalił się pan na czas mojej rozmowy z Turem.

... Stałem pod prysznicem i myślałem o przedstawicielu dumnej i potężnej cywilizacji, która poznała tajemnice materii i czasu, o Turianinie, który nie wierzył własnym oczom, dlatego że wierzył w nieomylność naukowych danych...

Ale stopniowo zaczęło mi się wydawać, że tego wszystkiego nie było. Po prostu nie mogło być.

Kiedy wróciłem, okno było otwarte, a po pokoju kręciło się dwóch silnych sanitariuszy w białych fartuchach.

- Zuchy, chłopcy, zdążyliście na czas ! - mówił Turianin, gdy układali go na noszach. -

Jeszcze trochę i byłoby po wszystkim! Macie ze sobą przeobrażacz?

- A niby gdzie mielibyśmy go mieć? - odpowiedział pierwszy sanitariusz. - No to co, idziemy?

- Idziemy ! - zgodził się drugi i podniósłszy nosze z Turianinem sanitariusze powoli przeszli obok mnie.

- A więc nie istniejemy? - wesoło mruknął do mnie gość. - No to nie istniej !

Sanitariusze przenieśli go obok mnie i spokojnie, nie spiesząc się, wyszli przez okno.

przekład : Michał Siwiec



# ILIA WARSZAWSKI

## LEŃ

Antropoid miał fasetowy, panoramiczny wzrok. Przez powieki przykryte dyskami sprzężenia zwrotnego Rusłan Iszimbajew widział uchodzącą w dal galerię i dwie ściany pokryte różowymi porowatymi naroślami.

Wysokość galerii to zwiększała się, to znów malała, więc przez cały czas trzeba było regulować długość nóg antropoida, aby jego uzbrojone we frezy ręce, znajdując się na poziomie ramion, odcinały od sufitu w przybliżeniu półmetrową warstwę minerału.

Głowę antropoida spowijały chmury błękitnego pyłu i Rusłanowi wydawało się, że ten pył pokrywa jego gałki oczne, łaskocze nozdrza.

Wciągnął nosem powietrze i nieoczekiwanie kichnął. Promień światła padającego z reflektora, umocowanego na głowie antropoida, podskoczył do góry i powędrował w dół.

"Diabelna małpa!" - pomyślał Rusłan.

Zdjął z oczu dyski, przesunął dźwigenkę pulpitu na sterowanie programowe, włączył ekran i odchylił do góry klosz. Od razu zrobiło się lżej. Teraz: widział galerię w normalnej perspektywie. Od kabiny pulpitu do antropoida było około pięćdziesięciu metrów.

Rusłan zerknął na zegarek. Do końca wachty pozostały dwie godziny, a norma wykonana mniej niż w dziesięciu procentach. Dwadzieścia pięć kubometrów minerału dla jakichś tam błękitnych ziarenek!

Odchylił się na oparcie siedzenia i przekręcił gałkę powiększenia. Dwa sortowniki buldożerami usuwały spod nóg antropoida góry pyłu, przepychały je przez sita i równa warstwa rozsypywały na podłodze.

Rusłan zogniskował ekran na skrzynkach znajdujących się niedaleko pulpitu. Jedna z nich do połowy wypełniona była kośćmi, produktem ubocznym przeznaczonym dla biologów, druga pusta.

Splunawszy, Ruslan soczyście zaklął. Znów to samo! Inni mają działki, z których przez dzień można uzyskać do dwustu, trzystu gramów, a on pusty minerał i te idiotyczne kości ni to ptaków, ni to kotów.

Znów skierował ekran na antropoida. Kłęby pyłu już nie przesłaniały przezroczystej kuli wypełnionej gęstą, mętną cieczą. Miarowo krocząc przed siebie, antropoid ciął frezami pustkę.

Ruslan pospiesznie naciągnął na głowę klosz i przesunął dźwigenkę na telesterowanie.

"Stój !"

Kula eksplodowała jasnym światłem i zgasła. Antropoid zatrzymał się. Ruslan westchnął i umocował na oczach dyski...

Teraz galeria opisywała półkole i przez cały czas musiał utrzymywać pole widzenia antropoida dokładnie na środku korytarza. Kilka razy gubił kierunek i frezy wrzynały się w ścianę.

Wszystko przed oczami Rusłana zaczynało drżeć. Korpus antropoida wibrował na skutek przeciążenia.

Ruslan nieraz słyszał o sylfii, ale widział ją po raz pierwszy. Wyskoczyła z bocznego korytarza z szybkością ekspresu. Było to metrowe złociste jajko na sześciu włochatych nogach-słupach. Jeszcze chwila i przed jego oczyma mignęła rozwarta paszcza na zmijowatej szyi.

Ruslan rzucił się do tyłu, na krzesło. To był niewybaczalny błąd. Zrozumiał to natychmiast, poczuwszy potworne uderzenie w potylicę, przekazane kanałem telekinetycznej łączności: powtórzywszy jego ruch, antropoid wyrznął głową w ścianę.

Zamiast wyraźnego obrazu Ruslan miał teraz przed oczyma falujące, rozmyte szare kontury.

Zdjął dyski i włączył ekran. Dzięki bogu, z jego oczyma nic się nie stało, ale antropoid najwyraźniej stracił orientację. Bezradnie kręcił się w miejscu, wymachując rękami Sylfie zniknęła. Wokół nóg antropoida krążyły sortowniki. Nie otrzymując o niego rozkazów, nic nie mogły robić.

Ruslan przesunął rączkę łączności telekinetycznej na maksymalne wzmocnienie.

Stój !

Szara postać na ekranie nadal kręciła się w miejscu. "Mówię ci, stój!" Antropoid zatrzymał się i wyciągnął ręce wzdłuż szwów. Sortowniki równie przerwały swój bieg.

"Wyłącz frezy!"

Ekran niestety nie dawał możliwości sprawdzenia, czy polecenie zostało wykonane.

"Chodź tu!"

Antropoid odwrócił się twarzą w stronę ekranu i zataczając się na ściany poszedł ku kabinnie.

"Stop! Odwróć się!"

No takt Na potylicy duże wgniecenie. Pod osłonką, w płynie, kłębią się iskry.

Rusłan westchnął i zdjął słuchawkę - Halo, warsztat?! Tu siódma działka. Przyślijcie montera.

- Co tam u was, siódmy? - zapyta niezadowolony kobiecy głos.

- Antropoid nawala.

- Wyrażajcie się ściślej. Co z nim? - Ma uszkodzona głowę. Naruszony został zmysł orientacji, nie ma sprzężenia zwrotnego na wideodyskach.

- Tak. Mam nadzieję, że to już wszystko?

- A co, mało wam?

- Posłuchajcie, siódmy, nie jestem waszą koleżanką, żebyście sobie z rana żartowali! Jak do tego doszło?

- Po prostu... - Rusłan zaciął się. Kawalek minerału.

- Zapomnieliście języka w gębie, czy co?

- Posłuchaj, dziewczyno - Iszimbajewa aż zatykało ze złości - czy twoja mama nie mówiła ci, że pchanie nosa w cudze sprawy jest nieprzyzwoite? T masz tylko przyjąć zamówienie, a przyczyny będą już ustalać dorośli wujkowie, znacznie od ciebie mądrzejsi.

Bęc ! Tu-tu-tu.

- Idiotka! - otarł pot z głowy. - I cóż teraz? Trzeba połączyć się z dyspozytorni ...

Rustan znów wykręcił numer.

- Tu dyżurny dyspozytor. Słucham. - Mówi Iszimbajew z siódmej działki. - A, Iszimbajew, co tam u was? Zadanie wykonacie?

- Nie wiem. Zepsuł mi się antropoid.

- Wezwaliście montera?

- Nie. Dzwoniłem do warsztatu, ale tam siedzi jakaś... zachowuje się grubiańsko, odkłada słuchawkę.

- Poczekajcie przy telefonie.

Ruslan usłyszał szczęknięcie przełącznika, położył słuchawkę na pulpicie i zamknął oczy:

"Boże! - pomyślał - aleś robótkę sobie znalazł, bałwanie!"

Poprzez słuchawkę docierały do niego urywki zdań:

... mimo wszystko nikomu nie pozwolę...

... nie jesteście na potańcówce. Jak wrócicie na Ziemię, grymaście sobie, ile chcecie, bo tu mamy grafik...

- ... to niech nie zachowuje się jak cham!

- ... daję wam dwie godziny czasu...

- ... takie uszkodzenie...

- ...weźcie z centralnego magazynu.

- ... nie można w strefie...

- ... róbcie w warsztacie...

Tak, to rozkaz...

Halo, Iszimbajew!

Ruslan otworzył oczy i wziął słuchawkę.

- Tu Iszimbajew!

- Wasz antropoid chodzi?

- Chodzi... Żle chodzi.

- Zaprowadźcie go do zakładu remontowego

- Nie mam sprzężenia zwrotnego.

- To nic, dojdzie. Macie kartę zużycia?

- Mam.

- A więc doprowadzicie go główną sztolnią do okrężnej galerii, a tam już zajmie się nim warsztat. Na jakiej fali pracujecie?

- Psi trzydzieści sześć.

- Dobrze, dam im znać: psi trzydzieści sześć. Ile kubometrów dziś daliście?

- Około dwudziestu pięciu. Dyspozytor zagwizdał.

- Co to się z wami dzieje?! Ruslan poczerwieniał.

- Przecież... przez cały czas nawalał mi robot.

- Tak... a jaka zdobycz?

"Poszedłbyś ty..." - pomyślał Iszimbajew. Nie podobała mu się ta rozmowa. Wygląda na to, że będzie dziś musiał pisać sprawozdanie.

- Nie wiem - skłamał - jeszcze nie zdążyłem sprawdzić... Chyba bardzo mała... prawie nic.

- Posłuchajcie, Iszimbajew - w głosie dyspozytora pojawiły się nutki, które zmusiły Rustana do ściśnięcia ze wszystkich sił słuchawki - wasza działka psuje nam wszystkie wskaźniki.

- Dobra - przerwał mu Ruslan słyszałem już to wszystko. Lepiej zabezpieczcie remont.

Przecież nie mogę pracować gołymi rękami. Jak przyjdzie antropoid, przycisnę i odpracuję. Czort wie co! Ruslan sam nie rozumiał, w jaki sposób wyrwało mu się to zdanie. Wcale nie chciało mu się

wracać dziś na wachtę. Ale wycofać się nie było można.

- Dobrze, Iszimbajew - głos w słuchawce pocieplał - za dwie godziny wasz antropoid będzie gotowy, już wydałem dyspozycje. Mam nadzieję, że dacie dziś trzysta kubometrów, umówiliśmy się?

"Podnieś prawą rękę!"

Obraz na ekranie pozostał nieruchomy. Iszimbajew przełączył zespół promiennika.

"Podnieś prawą rękę!"

Rozkaz został wykonany, ale podniesiona ręka kołysała się niczym szmata na wietrze.

"Opuść! Dwa kroki w przód!" Antropoid zachwiał się i zrobił, dwa niepewne kroki.

Telekinetyczny promiennik pracował z niedopuszczalnym przeciążeniem. Wewnątrz klosza było gorąco jak w piecu. Rusłan odchylił go do góry i położył na kolanach schemat sztolni.

Aha! Jest główna galeria. Ale labirynt! A przecież zbadano nie więcej niż dziesięć procent górnego poziomu. Po ostatniej historii nawet geologom nie wolno zapuszczać się w niższe galerie.

Nie ma co, rajska planetka! Sam pejzaż ile jest wart!

Na powierzchni Rusłan był tylko jeden raz, w drodze z kosmodromu, ale i to wystarczyło, aby na zawsze przeszła mu ochota na bywanie tam. Czort z nią, już lepiej spędzić cały rok tu, z dala od dziennego światła. Znow opuszczył na głowę klosz.

"Iść prosto do pierwszej galerii, skręcić w prawo, iść do pierścieniowatego korytarza, zatrzymać się, czekać na rozkaz! To twój program, idź!"

Antropoid podreptał w miejscu, pomarudził chwilę i ruszył przed siebie. Sortowniki poszły w jego ślady.

Doszli do zakrętu.

"W prawo!" - rozkazał Rusłan. Antropoid posłusznie zakręcił. Dalsze obserwowanie go bez sprzężenia zwrotnego było niemożliwe. Iszimbajew wyłączył aparaturę.

"Co za dzień! - Ścisnął rękami głowę. - Wszystko nie w porządku!" Chciało mu się spać, ale kładzenie się na dwie godziny nie miało sensu. "Durniu - pomyślał - sam się wrobiłeś w godziny nadliczbowe. Mało ci było!"

"Ale przecież nie będę tu sterczeć przez dwie godziny". - Wstał z krzesła, przeciągnął się i wszedł do kanału łącznikowego.

Średnica rury była niewielka, musiał więc iść zgięty, pokonując przeciwny strumień powietrza nasyconego mdłym zapachem amoniaku.

"Ale zapaszek! - pomyślał zacisnąwszy nos i oddychając ustami przez chusteczkę umoczoną w pochłaniaczu. Już od roku zamierzają zrobić kanały łącznikowe z prawdziwego zdarzenia, i nic. Widać, ciągle brakuje im czasu, myślą tylko o tym plugawym wienoecie. Też mi coś, eliksir nieśmiertelności! W przedzie były drzwi pulpitu piątej dziatki. Nacisnął stąpor i wszedł. Tu przynajmniej nie śmierdziało amoniakiem. Każda kabina posiadała instalację oczyszczającą.

Duszanow stał wyprostowany, jego oczy przykrywały dyski. Telekinetyczny klosz znajdował się gdzieś na jego potylicy, mężczyzna ręce wyciągnął przed siebie tak jakby miał w nich frezy.

Na odgłos otwieranych drzwi odwrócił się i zdjął dyski.

- A, to ty!

- Ja. Można? Posiedzę u ciebie trochę, co!

- Siadaj. - Mężczyzna przełączył pulpit na sterowanie programowe. Czego nie pracujesz?

- Awaria.

- Coś poważnego?

- Naprawa potrwa dwie godziny. A ty ile zrobiłeś?

- Siedemset kubometrów. - Kłamiesz!

- A niby dlaczego miałbym kłamać? - Duszanow włączył ekran i pokazał Rusłanowi

skrzynkę do połowy wypełnioną kulkami wienocetu.

Iszimbanow wytrzeszczył oczy.

- Ile- tam tego?

- Będzie z pół kilograma.

- Ale masz szczęście!

- Trzeba pracować. Działki u wszystkich jednakowe.

- A więc brakuje mi zdolności westchnął Rustan.

- Bzdura! Nikt się nie rodzi z telekinetycznymi zdolnościami. Trzeba je rozwijać.

Rustan wstał z krzesła.

- To już słyszałem. Na kursach.

- No dobra - Duszanow zerknął na ekran - horyzont obniża się, czas przejść na sprzężenie zwrotne. Wybacz mi...

- Dobrze. Powiedz mi tylko jeszcze jedno: czy ta praca rzeczywiście sprawia ci przyjemność?

- Sprawia.

- A dlaczego?

- Jakby ci powiedzieć... - Duszanow założył na oczy dyski. - Jeszcze w dzieciństwie marzyłem o tym, aby każda moja myśl kierowała maszyną. Rozumiesz, człowiek siedzi sobie tu w krześle, a tace jego doświadczenie, wola, wiedza znajdują się tam - w antropoidzie.

- A ja nie.

- Co - nie?

- Nie marzyłem.

- A o czym marzyłeś?

- O niczym. Teraz marzę tylko o tym, aby się wyspać.

- Leń z ciebie Rusłan.



- Może i leń - zgodził się Iszimbajew.

Maleńki, wąski pokoik pełen był dźwięków. Z prawej rozlegało się chrapanie, nad łóżkiem darł się głośnik, a z lewej słyhać było przytłumione głosy. Rusłan zdjął buty, wyłączył radio i położył się na łóżku.

- Szukać trzeba na niższych poziomach, które są źródłem potężnego psi-promieniowania - powiedział baryton z lewej.

- Ale mówi się, że tam są podobno te... jak im... sylfie - odezwał się kobiecy głos.

"To na pewno parka geofizyków pomyślał Rusłan - ci, którzy przylecieli przedwczoraj".

Widział ich w kawiarni. Mężczyzna miał bujną fryzurę i mięsisty nos. Kobieta nosiła spodnie i czarną koszulę. Miała też sięgające do ramion włosy.

- Bzdura - stwierdził autorytatywnie baryton. - Z naszymi środkami rażenia... "Tępak" - pomyślał Rusłan. - Beznadziejny dureń! Pokazać by tobie sylfię!"

- Nie żałujesz, że tu przyleciałaś?

- Nie, od czegoś trzeba było przecież zacząć. Szkoda tylko, że tu tak czymś śmierdzi.

- To amoniak. Atmosfera planety zawiera dużo amoniaku, a aparatura oczyszczająca powietrze nie stoi na wysokości zadania. Przecież właściwy podbój planety jeszcze się nie zaczął.

"Nie stoi na wysokości zadania! Rusłan aż zatrząsał się ze złości, przypomniawszy sobie kanały łącznikowe. Pożyjesz tu, to zobaczysz, jakie to zadanie!"

- A mnie się wydaje, że na dodatek śmierdzi tu kotami.

- To merkaptan. Nasyca się nim kostiumy przed wejściem do strefy. Sylfia boi się zapachu merkaptanu.

- Jesteś już we wszystkim doskonale zorientowany.

Rozległ się odgłos pocałunku. Rusłan zaklął i włączył radio.

"...podstawę telekinetycznego sterowania stanowi absolutnie identyczne nastrojenie długości

fali psi-pola obiektu sterowanego i podmiotu sterującego. Maksymalny efekt uzyskuje się przy całkowitym przestawieniu się podmiotu na wykonywaną pracę. Dowódca antropoida powinien nie tylko wydawać rozkazy, ale także, korzystając ze sprzężenia zwrotnego, myślowo wcielić się w antropoida...".

Rusłan dotknął potylicy. Dobrze wiedział, co to takiego wcielenie się w antropoida przy użyciu sprzężenia

"Uwzględniając fakt, że napięcie psi-pola maleje proporcjonalnie do kwadratu odległości, należy regulować obwód wzmacniający w zależności od intensywności percepcji receptora..."

Iszimbajew wyrwał sznur z kontaktu... - Poznanie terapeutycznej aktywności wienocetu

praktycznie rozwiązuje problem długowieczności - burczał baryton z lewej. - Ja sam osobiście jestem

zwolennikiem biologicznej teorii pochodzenia, chociaż twierdzenie, że wienocet to skamieniałe larwy owadów...

O Boże, i tu też wienocet! Zerknął na zegarek, naciągnął buty i powlókł się do kawiarni. Do swej dyspozycji miał około godziny czasu.

W kawiarni nie było jeszcze nikogo, jeśli nie liczyć Gravego, który jak zawsze siedział przy stoliku koło bufetu.

"Szczęściarz - pomyślał Rusłan dwa miesiące na chorobowym!"

- Siadaj - Grave podsunął mu krzesło.

- Co tu można zjeść? - Rusłan otworzył menu.

- Możesz nie patrzeć - powiedziała bufetowa - parówki i kawa, nic więcej nie ma.

- No tak, nieźle nas karmicie.

- Ty co, zachorowałeś? - zapytał Grave.

- Nie, przerwa na remont.

- Jutro obiecali podrzucić mięso powiedziała bufetowa. - Na Nowy Rok kierownik chce

zrobić kotlety z makaronem.

- Nieźle! - oblizał się Grave.

- Będzie też po kieliszku spirytusu na głowę.

- Po kieliszku! - mruknął Rusłan. - Jak ci się nie podoba, możesz nie pić - powiedziała bufetowa - ochotnicy zawsze się znajdują.

Rusłan w milczeniu żuł parówkę. Grave maczał w kawie suchar i odgryzał maleńkie kawałeczki.

- No a jak tam praca? - zapytał.

Rusłan machnął ręką.

- Czort z nią! Obrzydło mi to wszystko!

- Romantyk! - z pogardą powiedziała bufetowa. - Napatrzyłam się ja na nich przez cztery lata, na tych romantyków. Naczytali się fantastyki, a tu jak zobaczą sylfię, to przez miesiąc łążą z wytrzeszczonymi oczyma. Czego się spodziewałeś, kiedy się werbowałeś?

- Przecież nie wiedziałem...

- Ach, nie wiedziałeś?! No to teraz będziesz wiedział! Czego oni jeszcze właściwie chcą?

Siedź w miękkim krześle i rozkazuj przez cztery godziny na dobę. Postaćbyś ty na moim miejscu za bufetem. Telekinetyka! Też mi praca! Ja osobiście z przyjemnością karmiłabym was telekinetycznie.

- To nic, przyzwyczaj się - powiedział Grave.

- Zrozum, Grave - Rusłan z trudem dobierał słowa - mówi się, że jestem leniem. Może rzeczywiście nim jestem, nie wiem. Tylko że... ta praca nie odpowiada mi... Przecież ja jestem starym górnikiem. Pracowałem mechanicznym młotkiem, a nawet kilofem... a przecież to... coś zupełnie innego.

- Dziwak! - powiedział Grave - Co wolisz, machać kilofem zamiast dowodzić antropoidem?

- Wolę. Tam jest prawdziwa praca i człowiek męczy się tak jakoś po ludzku, a tu uniform... -

zaciął się zerknąwszy na bufetową.

- Trzeba ćwiczyć - powiedział Grave. - Kiedy się przyzwyczaisz, zrozumiesz, że z tym swoim kilofem maszynie nie dorównasz.

- Możliwe, ale przecież kilofem czuję minerał. A jest on różny: tu twardy, a tam miękki.

Pracuje człowiek i zastanawia się, gdzie rąbać, a gdzie sam odpadnie. - Rusłan westchnął i spojrzał na zegarek. - No dobra, dość już mielenia językiem. Nalej mi kawy.

Pozostało mu dwadzieścia minut. Gdyby ktoś wiedział, jak nie chciało się mu iść na wachtę!

W ciągu dwóch godzin temperatura w kabinie spadła poniżej zera.

Rusłan włączył ogrzewanie i wykręcił numer warsztatu.

- Tak? - tym razem był to głos mężczyzny.

- Mówi Iszimbajew z siódmej działki. Jak tam mój braciszek?

- Jaki braciszek?

- No, antropoid. Dyspozytor kazał... - Ach, to wy, Iszimbajew?! Właśnie piszę skargę na was.

To skandal!

- Chwileczkę, nie wrzeszczcie do słuchawki. Powiedziano mi, że mniej niż dwie godziny...

- Ja się was pytam, gdzie wasz antropoid?

- Jak to gdzie? U was. Powinniście go byli odebrać na pierścieniowatej galerii. Fala psi-trzydzieści sześć.

- Sprawdziliśmy na tej fali połowę galerii. Nie ma tam waszego antropoida.

- Nie ma?... Poczekaście, zaraz sprawdzę. - Rusłan odłożył słuchawkę. Sprawa przyjmowała zły obrót. Za coś takiego nie pogłaszczą go po głowie. Przecież jeżeli się zastanowić, to nie powinien był wychodzić z kabiny nie otrzymawszy potwierdzenia z warsztatu. Automat z naruszonym zmysłem orientacji mógł nie tylko zaleźć czort wie, gdzie, ale także zwalić się do jednej ze szczelin, a wtedy...

Głowa Iszimbajewa pokryła się kropelkami potu.

"Och!" Wyobraził sobie zastępy zaniepokojonych sylfii, atakujących górny poziom. Podobno kiedyś wydarzyło się już coś takiego. Lawina zwierząt zmiatała wtedy ze swej drogi stalowe przepierzenia baraków, niszczyła kanały łącznikowe i gdyby nie lasery...

Rusłan szarpnął w dół telekinetyczny klosz.

Wycisnął ze wzmocnionego sprzężenia zwrotnego wszystko, co się dało, tyle, że dyski aż paliły powieki, ale oczy nie rozróżniały niczego prócz kręcących się w ciemnościach tęczy kół.

Pozostał mu ostatni środek.

Rusłan odchylił klosz, wyrwał balastowy opornik drugiego obwodu i skręcił razem przewody. Teraz do wszystkich jego grzeszków doszło jeszcze naruszenie dwunastego paragrafu Reguł Telekinetycznego Sterowania.

Mimo woli krzyknął, kiedy jego powiek dotknął gorący metal. Zapachniało spalenizną. A jednak, zrywając z poparzonych powiek dyski widział przed sobą przez chwilę w horyzontalnym rozrzucie koordynatora kawałek minerału z charakterystycznymi śladami frezów.

Antropoid leżał gdzieś na drugim poziomie, przygnieciony zawalonym sufitem.

Na wejście w strefę należało uzyskać specjalne zezwolenie, ale że w ciągu tylko tego jednego dnia Iszimbajew dokonał tylu bohaterskich czynów, więc jeszcze jedno naruszenie Ustawy niczego w istocie nie zmieniało.

Nałożył maskę, włożył pas z akumulatorami, włączył reflektor i wziął stojący w kacie mechaniczny młotek. "Merkaptan!"

Małeńki flakon z obrzydliwie pachnącym płynem zatruwającym powietrze w kabinie. Kilka dni temu, jedząc śniadanie, jak pamiętał, kopnął go w kat. Opadłszy na czworaki przeszukał każdy centymetr podłogi. Flakon zniknął bez śladu.

Wyjście w strefę bez obronnego zapachu było ryzykowne, ale na zdobycie merkaptanu na

sąsiedniej działce potrzeba byłoby... Machnął na to ręką i zerwał plombę z opancerzonych drzwi.

...Wszystko to wyglądało zupełnie inaczej niż na ekranie. Różowe narośle na błyszczących, błękitnych ściankach poruszały tysiącami maleńkich listków. Rusłan dotknął jednego z nich i natychmiast cofnął rękę. Palec przeszył ból.

Zarzucił na ramię młotek i ruszył wzdłuż galerii. Nogi poza kostki zagłębiały się w miękkim gruncie rozsypanym przez sortowniki. Rusłan zrównał się ze skrzynkami, w których sortowniki składały zdobyte trofea. W jednej sterta kości. Tuż obok niej całkowicie zachowany szkielet dziwnego zwierzęcia z wygiętym w łuk kręgosłupem, trójkątną czaszką i długimi dziesięciopalczystymi kończynami.

"Ciekawe, co one tu żarty?" - pomyślał Rusłan.

W drugiej skrzynce, w kącie, znalazł jedną jedyną kulkę wienocetu - plon całego dzisiejszego dnia.

Doszedłszy do poprzecznej galerii Rusłan przypomniał sobie sylfię i pożałował, że nie ma merkaptanu. Włochata gadzina! - powiedział głośno, chcąc dodać sobie odwagi. Śmierząca wesz!

"Adzina! - powtórzyło echo zniekształcone przez maskę słowa - ąca... esz!" W tym miejscu kończyły się ślady pracy jego antropoida. Po twardym gruncie lżej było iść.

Najpierw zobaczył chaotycznie miotające się po galerii sortowniki. Ręce antropoida z włączonymi frezami wystawały spod przygniatającej go bryły. Straciwszy orientację, najwidoczniej usiłował przebić się przez ścianę galerii.

Bryła była zbyt ciężka, aby ją można było usunąć rękami. Iszimbajew podłączył przewody młotka do pasa z akumulatorami i określiwszy na oko układ warstw, rozkuł ją na dwie części.

"Wyłącz frezy, wstawaj!"

Opowieści o dowódcach potrafiących sterować antropoidami bez telekinetycznego wzmacniacza były jednak najwyraźniej wyrażając się delikatnie - przesadzone.

"Wstawaj!" - kucnął, wziął antropoida pod pachy i stęknąwszy z wysiłku postawił go na nogi.

Antropoid odwrócił się i z wyciągniętymi na wysokości ramion rękami ruszył na Iszimbajewa.

"Odwróć się!"

Obracające się z groźnym wyciem frezy zbliżyły się do twarzy Rusłana. Ten przysiadł.

Antropoid też zgiął nogi. "Wyłącz frezy, bałwanie!"

Ledwie uchwytny ślad psi-promieniowania ciągnęły uszkodzony mózg antropoida ku jego dowódcy.

Rusłan pobiegł... Przyczaiwszy się za rogiem poprzecznej galerii, przysłuchiwał się spokojnemu stukotowi stalowych podeszew.

Doszedłszy do zakrętu antropoid zatrzymał się na moment, jakby się czemuś przysłuchiwał, i bez wahania skręcił w lewo. Sortowniki posłusznie wlokły się z tyłu.

Śmiercionośne frezy znów wycelowane były w piersi Iszimbajewa. Szerokość korytarza nie przekraczała jednego metra i maszerujący kaczym chodem antropoid zahaczał raz po raz ramionami o ściany, wzbijając chmury błękitnego pyłu.

"Mówię ci, stój"

Jasne światło zbliżającego się reflektora oślepiało...

Rusłan biegł, czując przez pochłaniacz maski niesamowity fetor. Galeria zaczęła opisywać półkole, ostro zachodziła w dół. To była zapadnia. Tam, na pierwszym poziomie, wśród zarośli białych kolców czaiło się coś straszniejszego aniżeli frezy oszalałego antropoida.

Odbijający w prawo wąski korytarz przypominał raczej szczelinę w minerale. Nie było wiadomo, czy dokądkolwiek prowadzi, ale Rusłan nie miał wyjścia. Teraz należało tylko czekać na to, jak zachowa się antropoid. Korytarz był dla niego zbyt wąski... Stalowa imitacja człowieka dreptała przy wejściu, starając się schwytać Rusłana w światło reflektora.

"Niedobrze - pomyślał Rusłan, zamknąwszy oczy, by uchronić je od oślepiającego światła -

bardzo niedobrze, trzeba uciekać!"

Frezy antropoida wrzynały się w ściany, poszerzając korytarz. Sortowniki, otrzymawszy, dobrze sobie znany rozkaz, usuwały grunt.

"Wszystko przepadło!" - Dalej można było posuwać się tylko na brzuchu. Zgrzyt frezów zbliżał się nieubłaganie;

"Stój, diabelski pomioście!" - drżąc z gniewu ruszył na spotkanie antropoidowi. Strumień nieznośnie jasnego światła bił w opalone powieki, raził zaognione oczy.

"Kłamiesz, mieszańcu!"

W świetle reflektora czarnym cieniem wyrosła przed Rusłanem zwisająca z sufitu skała.

"Kłamiesz!" - zmierzył wzrokiem odległość dzielącą go od robota i podniósł mechaniczny młotek...

Teraz o wszystkim decydowały sekundy. Należało uwolnić wielotonowa bryłę w momencie, gdy znajdzie się pod nią przezroczysty kloz.

Frezy bez trudu wrzynały się w minerał, odcinając równe, grube płyty. Antropoid posuwał się do przodu z dokładnością mechanizmu zegarowego. Maszyna ta miała pewna bezsporna zaletę: nie wiedziała, co to zmęczenie.

"Kłamiesz, tu trzeba pracować głową!"

Ostatnia rzeczą jaką Rusłan zapamiętał, były jarzące się zielonym światłem fasetowe oczy antropoida i walący się sufit.

Rusłan ocknął się i jęknął. Wskutek uderzenia w ciemność przed jego oczyma wszystko

wirowało. Podniósł rękę i dotknął głowy. Podniósł się na czworaki i popełznął w tę stronę, gdzie pod

zawalonym pokładem w świetle reflektora błyszczała idiotycznie drgająca stopa antropoida.

Pomiędzy kawałkami minerału a sufitem była dość duża wolna przestrzeń, można więc było

wyczołgać się na galerię. Rusłan wyprostował się. Tam, w przodzie, błękitnawym światłem iskrzyły



się ściany labiryntu.

"Ty tu leż - pomyślał wdrapując się do góry - a ja sobie pójdę".

Ruslan po raz ostatni zerknął w dół i nieoczekiwanie widok drgającej nogi wzbudził w nim współczucie.

"No i czego podrygujesz, durniu? powiedział zeskakując z powrotem. No dobra, nie zostawię cię!"

Napięcie w akumulatorach spadło, musiał więc starannie wybrać te punkty, w których należało kuć skałę.

"Widzisz, bracie, w naszej pracy potrzebna jest głowa, a ty tylko podrygiwać potrafisz".

Z trudem usuwał ogromne kawałki minerału.

"Co to jest? - powiedział postępując z wysiłku. - To ma być zawał? Jak u nas w kopalni pewnego razu..." Ręce antropoida były wolne. Ruslan z obawą spojrział na frezy. Nie obracały się.

Najwyraźniej zaklinało je. "No, wstawaj!"

Podniósł antropoida, ale ten leciał mu przez ręce. Jego przegubowe nogi przez cały czas wyczyniały jakiś taniec. "Przestraszyłeś się czy co?"

Ruslan oparł antropoida o ścianę i wziął się za oczyszczanie korytarza: Miejsca było bardzo mało, więc największe kawałki trzeba było odciągać do tyłu. Ze zmęczenia drżały mu ręce.

"Ech, ale brzydka historia wyszła!!" Kruche pancerze sortowników były zmiażdżone. Ruslan kopnął je nogą.

"Chodźmy" - objął antropoida za ramiona i popychając ruszył przed siebie...

- Macie swój skarb!

Antropoid runął na podłogę. Leżał twarzą w dół, nadal poruszając nogami. Mechanik nachylił się i wyłączył jego blok energetyczny.

- Gdzieście go tak urządzili?! - zapytał oglądając zniekształcony kloz, z którego wyciekła

połowa płynu.

- Znalazłem go na głównej galerii. Sam się zasypał. Skandal! Nie mogliście go przyjąć w odpowiednim czasie! Po co was tu trzymają!

- Tak... - majster otworzył powyginaną tylną płytę pancerza antropoida roboty na dziesięć dni, wcześniej nie damy rady.

- Na dziesięć dni? - zapytał Rusłan. - No cóż, zameldujcie dyspozytorowi - dodał uśmiechnąwszy się radośni .

Na dziesiąty dzień, wcześnie rano, Rusłan Iszimbajew maszerował do pracy w zwykłej ziemskiej kopalni. A na dalekiej planecie naprawiony antropoid znów ciął minerał i młodemu dowódcy wydawało się, że jest bogiem.

przekład : Michał Siwiec

# ILIA WARSZAWSKI

## WIDZIADŁA

Przyszedłszy do domu zdjął buty, ubranie, bieliznę i wrzucił je do pojemnika utylizatora.

Procedura ta za każdym razem wywoływała u niego jakieś nieprzyjemne uczucie. Dziwne

przywiązanie do rzeczy, Szczególnie szkoda mu było rozstawać się z butami. Cierpiał na

płaskostopie i nawet buty ortopedyczne stawały się wygodne dopiero pod wieczór, kiedy trzeba je

było wyrzucić. Niestety, punkt pierwszy przepisów sanitarnych nakazywał codzienną wymianę

odzieży. Wziąwszy prysznic ubrał się w świeżą pidżamę : stara wraz z ręcznikiem powędrowała

także do utylizatora.

Przez kilka minut stał niezdecydowany przed aparaturą sztucznego klimatu. Potem,

ustawiwszy dźwigienkę na napisie "brzeg morza", położył się do łóżka.

Śmiertelnie chciał mu się spać, ale wiedział, że ta noc, podobnie jak poprzednia, upłynie

bezsennie. Wystarczyło, by zamknął oczy, i już wszystko to, co usiłował stłumić w sobie za dnia,

brało we władanie jego myśli. Musiał jednak usnąć, bowiem kiedy ponownie otworzył oczy,

wskazówka na świecącym cyferblacie wskazywała trzecią. Nie mógł dłużej czekać. Z ciężko

bijącym sercem podszedł do pulpitu i nacisnął guzik wezwania. Obraz dziewczyny, który pojawił się

w przestrzeni ogniskowej, uśmiechnął się do niego jak do starego znajomego.

- Słucham.

- Odzież na dziś! - powiedział ochrypłym głosem. - Mikroklimat numer dwadzieścia sześć.

Odzież osiem lub dwanaście.

- Nie można by czegoś lżejszego?

- Odzież roboczą?

- Tak.

- O której godzinie wychodzi pan z domu?

- Zaraz.

- Dam panu kombinezon i sweter. Na ulicy jest jeszcze chłodno. O dziesiątej będzie pan mógł wrzucić sweter do najbliższego utylizatora.

- Dobrze.

Otworzył drzwiczki kontenera i wziął pakiet z odzieżą.

- Co życzy pan sobie na śniadanie?

Teraz - pomyślał - właśnie teraz!

- Dlaczego pan milczy?

- Kocham panią.

- Nie zrozumiałam, co pan kocha. Dania na zamówienie wydawane są od siódmej rano. W nocy mogę zaproponować panu tylko to, co jest w programie.

Kocham Panią !

Postąpił krok do przodu, ale zamiast białego skrawka szyi z kasztanowymi lokami jego usta napotkały pustkę wypełnioną gorzkawym zapachem perfum. Na pulpicie zapalił się czerwony sygnał. Metodycznie poszczękując automat odliczał sekundy.

- Czas minął! Proszę powtórzyć wezwanie po upływie pięciu minut.

I obraz zniknął.

Jeszcze raz wciągnął zapach jej perfum i zaczął się ubierać. Szedł nieskończenie pustym chodnikiem wzdłuż budynków z ciemnymi oknami.

Latarnie zapalające się, gdy tylko się zbliżał, gasły natychmiast, kiedy tylko je minął.

Niewielka, jasno oświetlona przestrzeń w przedzie, a dalej - tajemniczy półmrok.

Podszedł do ciemnej witryny, która eksplodowała jasnym światłem, kiedy przeciął infraczerwony promień padający na fotokomórkę.

- Życzy pan sobie czegoś?

- Nie... to znaczy... w ogóle tak.

- Proszę wejść!

Wszedł na drugie piętro. Obraz jasnowłosej ekspedientki uśmiechnął się do niego na przywitanie.

- Potrzebuje pan prezentu?

- Tak.

- Dla kobiety?

- Tak.

- Kosmetyki? Kwiaty?

- Nie, perfumy....

- A jakie perfumy ona lubi?

- Nie wiem. Zapomniałem nazwę.

- To nie problem, znajdziemy w katalogu. Proszę usiąść! Nigdy nie podejrzewał, że na świecie istnieje takie bogactwo zapachów. Żaden z nich nie był jednak tym, którego szukał. - Wybrał pan?

- Nie.

- Zaraz zmienię taśmę.

Znów nie to. Od mocnych zapachów zakręciło mu się w głowie.

- O, te.

- Pańska dama ma doskonały gust. To fragmenty uwertury dwunastej symfonii zapachów.

Jeden flakon?

- Tak.

Taśma transportera wyniosła z mroku szkatułkę i zatrzymała się. Otworzył buteleczkę i wylał na dłoń kilka kropel bursztynowego płynu.

- Dziękuję! Do widzenia!

- Nie wziął pan flakonu.

- Dziękuję, rozmyśliłem się.

Stał przy siatce oddzielającej chodnik od autostrady z rękami przyciśniętymi do twarzy i wdychał gorzki, cierpki zapach perfum. Miejsce, gdzie się znajdował, opasywała mała wysepka światła.

Po autostradzie mknęły samochody, ciemne i szybkie. Zrobił kilka kroków wzdłuż siatki.

Plama światła sunęła za nim. Ponownie spróbował jej umknąć i znów go doścignęła. Pobiegnął. Plama przesuwała się wraz z nim. Miał wrażenie, że kiedy znajdzie się tam, w ciemnościach, zmora nie dająca mu spać po nocach skończy się wreszcie.

Przerzuciwszy nogi przez siatkę, zeskoczył na szosę. Ryk syreny. Zgrzyt hamulców. Nocne niebo rozświetlił ogromny transparent : "Uwaga ! Człowiek na drodze !" Olbrzymi obraz twarzy z gniewnie zaciśniętymi ustami błyskawicznie najeżdżał na samotną figurkę w kombinezonie.

- Natychmiast do tyłu !

- Dobrze.

Teraz oprócz latarni, zapalających się, gdy się zbliżał, co sto metrów zapalały się i gasły fioletowe sygnały Służby Obserwacyjnej.

Przy skrzyżowaniu w siatce było przejście. Mimo woli odskoczył, kiedy tuż przed jego nosem zatrzasnęły się drzwiczki.

- Samochód zamówiony. Proszę czekać.

- Nie trzeba. Ja nie mam... nie mam dokąd jechać.

- Zamówienie wycofane. Proszę wyjść z pola widzenia fotokomórki.

Dopiero teraz przypomniał sobie, że od dwóch dni nic nie jadł. W kabinie automatu przywitał go znajomy obraz tłuściocha w białej kucharskiej czapce.

- Mogę zaproponować tylko omlet, kawę i placek z jabłkami. śniadania wydaje się od siódmej rano. Wyciągnął rękę w stronę pulpitu i nagle odechciało mu się jeść. Zaraz naciśnie guzik i powtórzy się wszystko to, co było już tysiąc razy. Najpierw w automacie coś szczęknęło, potem zakręca się niezliczone kółka i na ladzie pojawi się zamówione danie. W chwilę później padnie nieodmienne "smacznego", obraz zniknie i będzie trzeba jeść w samotności.

- Dobrze. Wezmę kawę.

Zamiast nacisnąć guzik, odgiął tarczę lady i wziął dymiącą filiżankę.

Sygnal awarii. Automat wyłączył się z sieci. Nieoczekiwanie kabina wypełniła się fioletowym światłem Służby Obserwacyjnej. Miał teraz przed sobą surową twarz człowieka w białym kitlu.

- Kim pan jest?

- Salwator.

- To mi nic nie mówi. Pański indeks?

- Iks em dwadzieścia sześć czterdzieści osiem przecinek trzysta osiemdziesiąt dwa.

- Zaraz sprawdzę. Poeta?

- Tak.

- Sto czterdziesta druga ulica, dom dwieście pięćdziesiąt dwa, mieszkanie siedemset trzy?

- Tak.

- Jest pan na wizycie u psychiatry. Niech pan się stara odpowiadać na wszystkie pytania.

Dlaczego pan nie śpi? - Nie mogę. Cierpię na bezsenność.

- Od dawna?

- Od dawna.

- Od ilu nocy?

- N-n-nie pamiętam.

- Męczy coś pana?
- Tak.
- Co?
- Jestem zakochany.
- A ona nie odwzajemnia tego uczucia?
- Ona... nie może... to... obraz...
- Jaki obraz?
- Ten, który mam u siebie w domu, na pulpicie obsługi. - Zaraz, minutkę ! Tak ! Biorzeźbiarz Kowalski, druga nagroda Akademii Sztuk Pięknych, oryginał nieznany. Chyba pan rozumie, że nie można kochać obrazu, który nawet nie posiada oryginału?
- Rozumiem.
- No i co?
- Kocham.
- Jest pan żonaty?
- Nie.
- Dlaczego? Jakieś odchylenia od normy?
- Nie... na pewno nie... Po prostu... kocham ją.
- Polecę stacji obsługi, by zmieniła pański obraz.
- Proszę, tylko nie to !
- Dlaczego wyszedł pan na szosę?
- Pragnąłem ciemności. Chciałem popatrzeć na gwiazdy. - Czemu uszkodził pan automat?
- Trudno o tym z panem mówić. Przecież pan także jest maszyną...
- Chce pan rozmawiać z żywym lekarzem?
- Tak... tak chyba byłoby lepiej.



- Dopóki nie zostanie postawiona diagnoza, to niemożliwe. A więc, dlaczego uszkodził pan automat?
- Nie lubię automatów... mam wrażenie, że zależność od nich uwłacza mojej godności.
- Rozumiem. Pojedzie pan do szpitala.
- Nie chcę.
- Dlaczego?
- Tam też są automaty i te... widziadła.
- Kogo ma pan na myśli?
- No te... obrazy.
- Umieścimy pana na oddziale ukrytej obsługi.
- Wszystko jedno... nie mogę bez niej.
- Bez obrazu?
- Tak.
- Ale przecież ten obraz to także część automatu.
- Wiem.
- Dobrze. Niech pan jedzie do domu. Przez kilka dni będzie pan pod obserwacją. Do czasu wydania diagnozy. Wzywam pana samochód.
- Nie trzeba. Pójdę na piechotę, tylko...
- Niech pan kończy. Ma pan jakieś życzenie, które boi się pan wypowiedzieć, czy tak?
- Tak.
- Proszę mówić.
- Chcę, żeby zostawiono mnie w spokoju. Niech lepiej będzie tak, jak jest. Przecież ja... także... jestem automatem, tylko że wyższej klasy, egzemplarzem próbnym wypuszczonym przez firmę "General Bionic".



# DYMITR BILENKIN

## TEST NA ROZSADEK

Peter nadal zwlekał, choć należało bez wahania wejść, obudzić Eva, jeśli ten spał, i przyznać się, że on, inżynier kosmonauta pierwszej klasy Peter Funny, ujrzał widmo. Zdarzyło się to w jednym z tych dalekich przedziałów, gdzie monotonna wibracja przypominała o bliskości anihilatorów przestrzeni - czasu. Tuż obok uwięziona była siła mogąca bez trudu roznieść w strzępy niewielką planetę, nic więc dziwnego, że w tych ciasnych, skąpo oświetlonych i wypełnionych drganiem przejściami mimo woli odczuwało się niepokój. Peter czuł się jednak nie gorzej niż zwykle. Zapewne zdziwiłby się więc, gdyby dowiedział się; że w nim, władcy tej monstrualnej maszyny, drzemie ten sam niepokój, jaki odczuwał jego daleki przodek, gdy potęga przyrody dawała o sobie zdać ogniami błyskawic czy też groźnym zapachem sunącego po śladach drapieżnika.

Właśnie kończył obchód, kiedy przykuł go do miejsca, nie do pomyślenia wręcz w tej strefie, odgłos pokasływania. Odwrócił się.

Nikogo i niczego. Pusty korytarz, mglista emalia ścian, zmijowate cienie kabli i rur. I wstrętne niczym dotknięcie pajęczyny uczucie, że spoczywa na nim czyjś obcy wzrok.

- Oleg, to ty? - krzyknął.

Korytarz milczał. Peter był sam, zupełnie sam w trzewiach miarowo pracującej maszyny.

W chwilę później zrozumiał niedorzeczność, a nawet śmieszność swojej pozy i zabrawszy torbę z testerami, by dać do zrozumienia, że gotów jest natychmiast naprawić każdą kaszlącą, kichającą czy też chichoczącą usterkę, zdecydowanym krokiem ruszył w stronę miejsca, z którego dobiegło go pokasływanie.

Ale nie zdążył zrobić nawet dwóch kroków, kiedy od ściany oderwało się coś tak szybkiego i bezkształtnego, że pamięć zarejestrowała to jako rozpędzony obłok czarnego dymu, który niknąc za zakrętem błysnął ze swej ciemnej głębi dwiema krwawoczerwonymi źrenicami.

Kiedy osłabłe nogi wyniosły Petera na placyk, gdzie znikło owo "coś", po obu jego stronach nie było już niczego prócz bliźniaczo do siebie podobnych, wypełnionych drzeniem, korytarzy: Peter przebiegł je do końca, obejrzał się, i po raz pierwszy odległość dzieląca go od zamieszkałych pomieszczeń gwiazdolotu wydawała mu się tak przerażająco duża. Sprawa była całkowicie jasna. Zdarzało się i wcześniej, że długi lot odbijał się na nerwach kosmonautów, chociaż, o ile Peter pamiętał, nikomu nigdy jeszcze nie ukazywały się widma. Tym gorzej dla niego. O tym, co zaszło, obowiązany jest zameldować lekarzowi, czyli starszuskowi Evowi, a co będzie, nietrudno się domyślić. Nagle zrobiło mu się żal samego siebie. To niesprawiedliwe, niesprawiedliwe, niesprawiedliwe! Dlaczego właśnie on? Za co? Jak do tego w ogóle mogło dojść, przecież czuł się nie gorzej niż zwykle!

- Śpisz, Ev? - zapytał cicho poprzez zamknięte drzwi. Głupie pytanie. Przecież to jasne, że o tej późnej godzinie pokładowej nocy główny lekarz, a jednocześnie biolog ekspedycji wysypia się po trudnych dniach na Bisserze. Może więc nie należy go budzić?

Peter pogładził podbródek. Obowiązany jest opowiedzieć o tym, co mu się przydarzyło, zgoda. Ale jest różnica, czy robi to teraz, czy później. Zasadnicza różnica! Bardzo wątpliwe, czy jego reakcje są teraz w normie. Ale jeżeli wypocznie, wyśpi się, to wtedy...

A więc postanowione. Peter Funny wszedł do swej kajuty, rozebrał się i położył. W kajucie było cicho. Nic tu nie przypominało o szybkości, z jaką śpieszący na Ziemię gwiazdolot pokonywał przestrzeń. Gwiazdolot, na którego pokładzie, choć było to nieprawdopodobne, zobaczył widmo. W kilka minut później Peter zasnął. Miał przecież tak jak każdy kosmonauta mocne nerwy.

Ale spał źle. Tam na Zielni, gdzie się znalazł, leżał w hamaku, który nagle zamienił się w pajęczynę, i serce zmroził strach, bo wprawdzie pajaka nigdzie nie było widać, ale lada chwila powinien się być pojawić. Peter wiedział, że jest on tuż obok, gdyż czuł dotknięcie włochatych łap, ale poruszyć się nie było można, a co najgorsze, pajak był niewidzialny. Potem wciąż jeszcze leżąc w

pajęczynie patrzył w mikroskop, co, jak wiedział, było ostatnią szansą zdania przez niego egzaminu, od którego zależało wszystko. Ale w mikroskopie zamiast pająka widać było rude, nachalne wąsiki Eva i zrozpaczony Peter zastanawiał się, czy to rzeczywiście końcowy egzamin, choć doskonale wiedział, że tak. Z wysiłkiem odepchnął wstrętny mikroskop, by wziąć następny; mikroskop potoczył się jak kula, a kula ta rosnąc błysnęła nagle lodowatym płomieniem i serce Petera ścisnął ból, gdyż to już nie była kula, lecz zgęstka neutrinowej gwiazdy. A więc to tak powstają galaktyki... - błysnęło w sparaliżowanym strachem mózgu.

W jego koszmary senne wtargnął nagle jakiś hałas. Poderwał się i nasłuchiwał. Serce biło jak oszalałe, ale jawa już uporała się z majakami. Gdzieś blisko rozlegało się pukanie i jakby krzyki. Zgadza się: ktoś przeklinając na czym świat stoi walił od wewnątrz w zamknięte drzwi toalety. Peter szarpnął za klamkę i ze środka niczym kot z worka wyskoczył Oleg.

- Czyje to żarty? - wrzasnął nie dając Peterowi dojść do słowa. - Też mi zabawa, humor na poziomie ameby, jaskiniowe dowcipy !

- A to już wtedy znano dowcipy? - zapytał osłupiały Peter.

Pytanie było tak głupie, że obaj zamilkli i gapili się jeden na drugiego.

- Dacie się wreszcie człowiekowi wyspać? - dobiegł z tyłu niezadowolony głos. Skrzypnęły drzwi i na korytarz wysunęła się głowa Eva. - Co to za latanina i rwetes? Obrzucił spojrzeniem na pół rozebranych kosmonautów.

- Ktoś zamknął Olega - powiedział zdetonowany Peter. - Aha! - powiedział Ev. - A w reaktorze jeszcze nikogo nie spalono? Czas najwyższy.

- Faktem jest, że ktoś mnie zamknął - burknął Oleg. I zrobił to z największą satysfakcją, bo cały czas chichotał jak głupi. Chciałbym wiedzieć...

- Tak, to bardzo ciekawe - przytaknął Ev. - Jesteśmy na pokładzie gwiazdolotu czy w ZOO?

- To mógł zrobić niesprawny cyber-sprzątac - podsunął Peter.

- Aha! - oczy Eva zabłyśły. Otulone galaktycznym mrokiem żelazko złowieszczo podkradało się do nocnych pantofli śpiącego kosmonauty... - Tak nawiasem, Peter, co ty zrobiłeś ze swoimi pantoflami?

- Z czym?

Wszyscy spojrzeli na nogi Petera. Na jego dziurawe, upstrzone purpurowymi plamami nocne pantofle.

- Koniec świata - westchnął Oleg. - Pełno kawalarzy. - No, Peter, czym ty je tak urządziłeś?

- Ev... - głos Petera drgnął. - Muszę z tobą porozmawiać, Ev... Widziałem zjawę.

- Bzdura! - Ev odrzucił taśmę miogrammu, która zaczepiła się za przełącznik i zawisła na nim kołysząc się. Jaką zjawę? Diagnost twierdzi, że jesteś zdrow, a ja zgadzam się z tym pudłem...

- Zapewniam cię...

- Silne podniecenie i nic więcej. Wszystkie podstawowe reakcje...

- A pantofle?

- Co pantofle? Co mają z tym wspólnego pantofle? Po prostu przepaliłeś je czymś...

- Ale czym?...

Kompotem! - wrzasnął Ev. - Kapuśniakiem! Czego jeszcze chcesz? Przecież dookoła pełno kawalarzy, jak się wyraził Oleg. I wszyscy sadzą się na dowcipy. Budzą człowieka w środku nocy...

Cienie zmarłych z chichotem, widzicie ich, zamykają im drzwi... Zaraz dam wam taką dawkę środka uspokajającego, taką dawkę...

Sięgnął ręką na stół, ale nie wziął ampułki. W drzwiach stał Anton Resmi. Stał i patrzył takim wzrokiem, że Peter zapragnął natychmiast zniknąć.

- Słuchaj, Ev - kapitan podszedł do mężczyzny - mam do ciebie jako biologa i lekarza naszej ekspedycji małe pytanie : czy mysz może się zamienić, dajmy na to, w czwarty wymiar.

- Anton - oczy Eva zrobiły się okrągłe ze zdumienia czyżbyś i ty dołączył do kawalarzy?

- Do kawalarzy? Ja ciebie pytam: gdzie zwierzęta?

- Zwierzęta?

- Tak, zwierzęta.

- Z Bissery?

- Z Bissery.

- Tam gdzie powinny być. A co?

- Nic. Po prostu nie ma ich tam.

- Jak to... nie ma?

- Sam chciałbym wiedzieć.

- To niemożliwe.

- Fakt.

- Anton, przecież to niemożliwe !! Co za głupi kawał !!! Ev spojrzał na Peterą, jakby pragnąc, by ten podzielił jego oburzenie, jeszcze raz zerknął na kapitana i zrobił się trupio błądy.

Tak - pomyślał Peter przypatrując się spoza ramienia Eva witalizacyjnym kłoszom - jeśli ktoś tu zwariował, to w każdym razie nie ja. Ładna historia !

Przez całe pomieszczenie ciągnęły się maleńkie i duże przezroczyste sarkofagi, w których automaty podtrzymywały warunki niezbędne do tego, by złowione na Bisserze egzemplarze fauny żyły, lecz pozostawały uśpione.

Co najmniej jedna trzecia sarkofagów była pusta. I to nie tak zwyczajnie pusta, lecz - rzec by można - wręcz wyzywająco pusta, ponieważ w każdym z nich ziała imponujących rozmiarów opływowa dziura.

Na pulpicie, jakby na ironię, paliły się zielone ogniki, co oznaczało sprawną pracę automatów witalizacyjnych, migotały z oburzeniem sygnały kontroli działalności życiowej, które nie miały czego kontrolować.

- No i co ty na to?

Ev nie odpowiedział. Był tak blady, że jego rudawe wąsiki wyglądały jak płomiennie czerwone.

- Nie ma się co denerwować - kapitan miękko położył rękę na jego ramieniu. - Zniknęły. Jeśli się nie mylę, steggry, asfety, trojańoe, katusze i te... jak im tam...

- Missandry - wyszeptał Ev.

- ... Missandry. A pseudogady zostały. Może to coś wyjaśnia?

Ev rozpaczliwie pokręcił głową.

- Witalizacyjny stopień uśpienia utrzymywany jest we wszystkich hermetycznych kloszach na średnim, optymalnym dla całej grupy poziomie - mówił monotonie, jakby powtarzał wykutą na pamięć lekcję. - Istnieje możliwość, że dla któregoś osobnika dany poziom okaże się niewystarczający i stworzenie obudzi się. Ale w tym wypadku automat natychmiast zwiększy podaż środka... Co też i zrobił. Nic nie rozumiem. Przecież w ten sposób przepalić klosz można jedynie wyładowaniem iskrowym ! wykrzyknął.

- Może któreś z tych stworzeń... - zaczął kapitan, ale Ev jeszcze raz pokręcił głową.

- Widziałem je na statku - powiedział nieoczekiwanie Peter.

Wszyscy spojrzeli na niego. Krótco zameldował o widmie. - To był chyba katusz - powiedział zamyślony Ev.

- Nie - zaproponował Peter. - Znam katusza. To nie był on.

- Nieważne - powiedział cicho kapitan. - To znaczy, Ev, że żadnego wyjaśnienia dać nie możesz, czy tak?

- Tak.

- Dobrze, będziemy więc działać bez wyjaśnień. Ogłaszam alarm.

U wejścia do sterówki Ev złapał kapitana za łokieć.



- Mam wyjaśnienie. Nie chciałem mówić przy Peterze.

- Tak? - Ev poczuł, jak pod jego ręką napięły się mięśnie. - Kapitanie, zwierzęta nie mogły same się uwolnić; to wykluczone. Ktoś je musiał wypuścić.

- Zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?!

- Owszem. I dlatego obstaję przy badaniu całej załogi.

Kapitan otarł pot z czoła.

- Podejrzewasz kogoś?

- Gdybym przed chwilą nie badał Petera, powiedziałbym Peter. Ale to nie Peter. Nie chcę o tym myśleć, ale ktoś przecież zamknął Olega i oblał pantofle Petera kwasem

- Mimo to - powiedział ostro kapitan - nie wyrażę zgody na badanie całej załogi. - Ev, pożaru nie gasi się w akompaniamencie okrzyków: "Wśród nas jest podpalacz!" W tym samym czasie Peter, stojąc na swym posterunku, ze zdumieniem oglądał nadgarstek swej lewej ręki. Dopiero teraz rzuciła mu się w oczy plamka, jaka pozostaje po zastrzyku w miejscu, gdzie pod skórą sinieje żyła. Jakaś bzdura! Ale może powiedzieć o tym?

Z początku nikt nie wątpił, że schwytywanie jakichś tam głupich zwierzątek to żaden problem, ale wkrótce okazało się, że to nie takie proste. Gwiazdolot to kilkanaście kilometrów kwadratowych powierzchni, a przy jego konstruowaniu nikomu nie przyszło na myśl, że może się on stać miejscem polowania. Ze dwa razy udało się wystraszyć jakieś stworzenie, które natychmiast uniosło się nad prześladowcami, by skryć się w plątaninie pokładów. szybów, wind i przejść. i to wszystko.

Ponieważ jedynym latającym egzemplarzem fauny na pokładzie statku był missandr, więc był to najprawdopodobniej on. Ale gdzie się podziały pozostałe zwierzęta?

Propozycję, by nastroić cyber-sprzątaczy na poszukiwanie zbiegłych zwierząt, Ev natychmiast odrzucił -- wiedział, że zwykłych robotów nie można poszczuć na białkowe, a więc pokrewne człowiekowi stworzenie. Zaś automaty biologiczne, których używał do polowania na

Bisserze, były bezużyteczne w ciasnych pomieszczeniach statku.

Im dłużej się nad tym wszystkim zastanawiał, tym mniej mu się to podobało. Hipoteza, że klosze zniszczył szaleniec, była odrażająca, ale mimo wszystko prawdopodobna. Miała ona jednak słaby punkt. Załóżmy, że ktoś istotnie wypuścił zwierzęta. I co dalej? Przecież powietrze Bissery miało niewiele wspólnego z ziemskim! Jak więc zwierzaki nim oddychają? Bo że oddychają, to fakt. Swoimi wątpliwościami podzielił się w końcu z kapitanem.

- Jak to? - zdziwił się Resmi. - Badałeś je i nawet nie wiesz, czym mogą oddychać, a czym nie!

- Masz prawo robić mi wymówki, Anton. Ale kto skrócił program biologiczny. Wiem, wiem, pilne wezwanie z Ziemi. Jesteśmy potrzebni - jak zwykle natychmiast w przeciwległym kwadracie Galaktyki. A co ja? Cóż mogłem zrobić przez ten czas, jaki mi pozostał? Spieszmy się, wiecznie się spieszymy, dziś jedna gwiazda, jutro druga ; szybciej, szybciej, spraw kupa, obejrzeć się nie ma kiedy, i jaki jest tego efekt? Nie myśl, że usiłuję uchylić się od odpowiedzialności, ale...

- Spieszmy się, to prawda. Ale gdyby tak nie było, prawdopodobnie nie znajdowalibyśmy się teraz wśród gwiazd. A więc one przystosowały się, tak?

- Wysoka elastyczność metabolizmu...

- Dobra, wyjaśnisz to po ich schwytaniu. Masz jakieś propozycje, jeśli chodzi o pułapki?

Przedyskutowali nową taktykę. Wciąż im przerywano: "Kapitanie, na drózkach gospodarstwa Petera odkryto ślady nieznanymi zwierząt..."

Replikę uprzedził mroczny głos Petem: "Od dawna mówiłem, że nie wystarczy nam cyber-sprzątaczy. Nie nadążają ze sprzątaniem".

"Dobrze, dobrze - odpowiadał mu z ironią. - My przymykamy na to oczy, ale kto przekona komisję techniczną".

"Nie kpijcie, chłopcy, to nie żaden pył, tylko popiół. Mechanicy ukradkiem palili papierosy".

"To wcale nie mechanicy, tylko zwierzaki Eva. Skoro potrafiły dać drapaka, to dlaczego nie miałyby mieć ochoty na papieroska."

Kapitan ze złością wyciszył dźwięk. Czuł się niewyraźnie. Zwierzęta mało go obchodziły - ostatecznie gdzie się podzieją! - ale szalenie na pokładzie... Zarządzenie, by trzymać się dwójkami, załoga skwitowała obojętnym wzruszeniem ramion - to dobrze, a więc nikt się niczego nie domyśla.

Pokpił sprawę, nie ma co. Kapitan odpowiada za wszystko, cokolwiek by się nie stało. Tak było, jest i będzie, żeby nie wiadomo dokąd człowiek dotarł. Dla niego, Resmiego, to przecież nie nowość, że trzeba troszczyć się o wszystko, umieć wszystko przewidzieć i w każdej sytuacji nad tą sytuacją panować. Zawsze wystrzegał się ślepego przypadku, a teraz... Czyżby to był sygnał, że stracił węch? Ogarnęła go bezsilna złość. Nie, nie, nie, on im wszystkim jeszcze pokaże! Ale komu? Zwierzętom? Okolicznościom Samemu sobie?

Resmi przywołał się do porządku, zanim jeszcze doktor zauważył jego gniew.

- Być może ten plan da lepsze wyniki - popatrzył chłodno na obszerny rysunek. - Wyjaśnij technikom, co trzeba robić. Ja zbiorę załogę.

- Warto by coś zjeść - zauważył Ev. - Po tej całej lataninie gotów jestem zjeść nawet pieczonego missandra. Wyszedłszy ze sterówki Ev spostrzegł Petera, który najwyraźniej czekał na niego.

- Patrz - powiedział Peter pokazując mu tylną stronę nadgarstka. - Możesz śmiać się ze mnie, jeśli chcesz, ale daję ci słowo honoru, że sam się nie kłułem...

Ev spojrzął i zmieszał się.

Śniadanie rozpoczęło się w akompaniamencie żartów, ale wkrótce dano im spokój, tak mroczny był kapitan.

- Co z nim? - zapytał szeptem Oleg. - Można by pomyśleć, że to te zwierzeta...

- Tak, ale teraz będzie się z niego śmiała cała Galaktyka odpowiedział sąsiad.

- Wyśmiewać się będą raczej z Eva.

- Wszystkim się dostanie. Słuchaj, nie wiesz, dlaczego nasze panie tak mocno się wyperfumowały?

- Ach, więc i ty zauważyłeś?

- Martwy by nie zauważył. Kapitan podniósł głowę.

- Musa !

- Słucham, kapitanie.

- Co tam u wasz wentylacją? Skąd ten zapach?

- Myślę, że to nasze miłe panie...

Burzliwy protest zmusił go do zamilknięcia.

- To wcale nie perfumy!

- My, kobiety, znamy się na tym !

- Cisza! - zrobiło się cicho. - Brygada systemu zaopatrzenia w tlen, natychmiast zamknąć...

Kapitan nie zdążył dokończyć, gdyż zaciągnęło takim smrodem, że na podłogę poleciały odtrącone krzesła, wszyscy poderwali się na nogi. W tym samym momencie zawyła syrena.

Ew i Resmi siedzieli odwrócenii do siebie plecami, tak by móc kontrolować wszystkie pośpiesznie ustawione w sterówce ekrany. Obaj mieli na twarzach maski, choć smród zniknął równie szybko, jak się pojawił, a poza tym wywołany był nieszkodliwą wonną mieszanką siarkowodoru, metanu i bromku wodoru. Na skrzyżowaniach wszystkich korytarzy ustawiono nadajniki, tam też pod sufitem pozawieszano prymitywne, ale niezawodne pułapki. Teraz należało już tylko siedzieć i czekać, aż w polu widzenia pojawi się któryś z uciekinierów. Płynęły minuty i nic się nie działo.

Selektor milczał - ludziom nie w głowie były teraz żarty. Ściskając broń, za szczelnie zamkniętymi drzwiami, pilnowali newralgicznych punktów statku i czekali...

Czekali, choć nikt nie był w stanie powiedzieć, na co.

- Nareszcie.

Ev błyskawicznie nacisnął guzik.

Stworzenie na ekranie znieruchomiało, jakby coś przeczuwało. Za późno - już miało się w elastycznych siliketowych sieciach.

- Złapał się! - wykrzyknął kapitan.

- Uhm - odezwał się Ev. - Chciałbym tylko wiedzieć kto...

- Jak to "kto"? Przecież to asfet.

- Skrzydlaty asfet.

- Skrzydlaty?!

Tak, miotające się w sieciach stworzenie miało skrzydła. Jak missandr. I sześć kończyn. Jak asfet. I trąbowaty, nagi ogon, którego nie miało żadne ze zwierząt.

- Ev - w głosie kapitana zabrzmiało błaganie. - Jesteś przecież biologiem, przecież sam je łapałeś! Powiedź coś Twarz Eva była trupio blada.

- Ev! - kapitan potrząsnął go za ramię. - Patrz.

Stworzenie uspokoiło się. Leżało na podłodze ciemnym kłębkim i tylko jego ogon poruszał się lekko. Nie, nie poruszał się. Kapitanowi ze zdumienia opadła szczęka. Koniec ogona wolno, lecz systematycznie rozdawał się. Ogon przekształcał się w rodzaj nożyc, a ostrza tych dziwnych nożyc wyraźnie zaostrzały się. Właśnie pochwytyły kilka siliketowych oczek sieci... zamknęły się...

To przecież siliket - pomyślał kapitan.

Ogon puścił oczka sieci, które stawiały mu skuteczny opór. Teraz zmieniał barwę - z brunatnej na szarostalową. Znow się rozwarł - było widać, że jego ostrza skróciły się i pochwytył luźną fałdę sieci.

Ludzie drgnęli na dźwięk poddającego się siliketu. Jeszcze kilka zamachów gibkiego, rozdwojonego, chrzęszczącego ogona - stworzenie strząsnęło z siebie kawałki sieci i ekran

opustoszał.

- No - zwrócił się Ev do kapitana - bij mnie, zasłużyłem na to. Jaki ze mnie idiota.

- ... Zrozumiałeś coś z tego?

- Przecież to jasne! - płaczącym głosem wykrzyknął Ev. - One przekształcają swoje ciało !

- To widziałem. To znaczy obaj widzieliśmy. Ale niech skonam, jeśli coś z tego zrozumiałem !

- Słuchaj - powiedział Ev. - Nie ma żadnych asfetów, missandrów i wszystkich innych. To jedno i to samo.

Zupełnie inny typ ewolucji. Gdzie ja miałem oczy! Przecież to wspaniałe !

- Ale nie na moją głowę - powiedział sucho kapitan. Trzeba coś zrobić.

- Trzeba przede wszystkim zrozumieć. Siadaj. Na Ziemi wilk będzie zawsze wilkiem, kuropatwa kuropatwą, ameba amebą, chociaż ich ciała składają się z jednakowych komórek o zbliżonej biochemii. Są to po prostu różne części jednej całości. Podobnie jak karafka, szklanka, lustro...

- Lustro? - machinalnie powtórzył kapitan.

- No tak, to przecież również szkło. Ziemska ewolucja rozszczepiła jednolitą substancję biologiczną na tysiące, miliony niezależnych, nie dających się przekształcić jedna w drugą form. A tu jest na odwrót. Biserski słoń może się przekształcić w wieloryba czy też w stado królików, gdyż to wszystko to samo. To jeden organizm, który kiedy chce i w co chce przekształca swoje ciało. Na rozkaz komórek nerwowych.

- Na rozkaz.

- Właśnie. Na Ziemi biologicznej substancji tę czy inną formę nadają warunki zewnętrzne.

Powoli, lecz nieubłaganie kształtują one niepodobne do siebie formy. Tu natomiast, jak sami widzieliśmy, proces ten przebiega błyskawicznie i wielokierunkowo. I to jest wytłumaczenie!

Obudził się jeden, tylko jeden, organizm. Obudził się i wyhodował innego słowa nie znajduję - przeciwgaz. Wyhodował również jakąś broń do zniszczenia klosza. I uwolnił pozostałych.

- To znaczy, że żadnego szaleńca nie było - odetchnął z ulgą kapitan.

- Poczekaj z tą radością. Wniosek może być tylko jeden. - Jesteś pewien? Może to jednak przyroda...

- Tak szybko i świadomie? Nie, Antom spójrzmy prawdzie w oczy. To chyba rozum.

- Rozum - kapitan spojrzał na swe zaciśnięte w pięści ręce. - Nie mieści mi się to w głowie.

Nie mogliśmy się tak potwornie pomylić.

- Mogliśmy, Antom mogliśmy. "Szybciej, szybciej, później się zorientujemy, sprawa jasna, to tylko zwierzęta, nie ma więc co zwlekać". Oto na jakiej zasadzie działałem. A automaty swym ofiarom opamiętać się nie dają. Skok, porcja uniwersalnego środka usypiającego i gotowe.

- Ale na Bisserze nie ma żadnych śladów cywilizacji! - To prawda, nie ma tam ani miast, ani maszyn, ani dróg. Ale po co one stworzeniom, które w razie potrzeby mogą przekształcać swoje ciało w maszyny, narzędzia, materiały?

- To niemożliwe; Ev. Żywa substancja nie może dać rozwiniętej cywilizacji wszystkiego, czego ta potrzebuje. - Czyżby? Mówisz tak, jak gdyby silniki odrzutowe, lekarstwa, baterie elektryczne nie istniały w przyrodzie do czasu wytworzenia ich przez nas! Wyobrażasz sobie, do czego zdolna jest żywa substancja, którą kieruje rozumy Ta głupia, nieprawdopodobna, absurdalna z naszego punktu widzenia cywilizacja stoi być może na wyższym poziomie niż nasza. Ja w każdym razie nie potrafiłbym wydostać się spod klosza, ty chyba też. Nie dlatego, że jestem głupszy, ale dlatego, że bez maszyny, instrumentów, przyrządów jestem niczym: A one mają je zawsze ze sobą. Przypomnij sobie, jak zbadały Petera, gdy ten spał. Poza tym mogły nas otruć, gdy nie traktowaliśmy ich serio. Czemu kręcisz głową? Co, hipoteza "szaleńca na pokładzie" wydaje ci się bardziej pociągająca?

- Wolę ją od tego, co powiedziałeś. Na szczęście ich zachowanie się na statku nie wygląda na rozumne.

- Nasze posunięcia też dalekie były od mądrości.

- Międzyplanetarna wojna na pokładzie gwiazdolotu, tylko tego jeszcze brakowało! Zaraz zobaczymy, czy te zwierzęta są rozumne.

Jednakże sprawdzian nic nie dał. Wszystkie opracowane przez teoretyków sposoby nawiązywania kontaktów zawiodły; ich stuprocentowa gabinetowa pewność nie sprawdziła się w milczących przestrzeniach gwiazdolotu. Wszystkich dręczyły jedne i te same pytania. Nie rozumieją czy też nie chcą zrozumieć? Co oznaczają ich postęпки? Spotkanie Petera z "widmem" mogło być dziełem przypadku. Ale czy i przez przypadek ktoś wśliznął się do jego pomieszczenia, kiedy spał? I po co? Żeby pobrać krew do analizy czy też sprawdzić, czy człowiek jest jadalny?

A pantofle, co z tym wszystkim mają wspólnego pantofle? I zamknięte drzwi?

Jedno głupsze od drugiego!

Na statku panowała cisza, jakiej ten jeszcze nie znał. Ani szmeru kroków, ani głosów, tylko spokój "ziemi niczyjej", który lada chwila mógł eksplodować odgłosami walki. Czas płynął, a wraz z nim malały szanse na pokojowe załatwienie sprawy.

Pod wieczór nastąpił przełom. Ekrany, za których pośrednictwem kapitan wraz z biologiem kontynuowali obserwacje, zaciągnęły się drobnymi pasami i zaczęły gasnąć, jeden po drugim, niczym zdmuchnięte przez wiatr świece. Nadeszła chwila, na którą wszyscy czekali i której wszyscy tak się bali. Kapitan złapał się za głowę i patrzył na ciemne ekrany.

Wiedział, jakiego rozkazu oczekują od niego. Rozkazu wyruszenia z dezintegratorami żywej materii w celu zniszczenia zbiegów, gdzie by się oni nie kryli.

Na razie nie jest za późno. Na razie jest jeszcze czas. A może już go nie ma?

Ale kapitan wiedział też, że ani Ziemia, ani jego własna załoga nie wybaczy mu tej bitwy,



jeśli okaże się, że w tym, ~ powiedział Ev, było choć trochę prawdy. Potem, kiedy będzie już po wszystkim, kiedy będą mieli za sobą lęk przed nieznanym, ludzie opamiętają się. Strach zostanie zapomniany, ustąpi miejsca żalowi i goryczy, bowiem śmierć nieznanych stworzeń będzie również końcem pewności ludzi, że są oni w stanie zrozumieć to wszystko, z czym się zetknęli. Tej pewności, która dotąd sprawdzała się i prowadziła ich przez gwiazdne światy. Zginie również ich wiara we własny humanitaryzm. Kapitan odczuwał rozpacz przypartego do muru człowieka, rozpacz gotową obrócić się w gniew na Eva, na wszystkich teoretyków, którzy powinni byli przewidzieć, a okazali się ślepi, którzy obowiązani byli znaleźć wyjście, a wprowadzili ich w ślepią uliczkę. Gniew sprawił, że kapitan zapragnął wydać ów nieszczęsny rozkaz, gdyż jak wiadomo, w niebezpiecznej sytuacji nawet błędna decyzja lepsza jest od bezczynności. Jego palec błyskawicznie legł na guziczku selektora.

- Poczekaj ! - krzyknął Ev. - Chyba się domyślam, w czym rzecz!

- Prędzej, prędzej !

- Trzeba wypuścić pozostałe zwierzęta.

- Co?!

- Słuchaj. One zaczęły tę partię, tak?

- Owszem ! - palec wciąż spoczywał jeszcze na guziczku selektora.

- A czym my odpowiedzieliśmy na to? Obławą.

W odpowiedzi one zmusiły nas do zatkania nosów. My natychmiast rozstawiliśmy pułapki.

Co zrobiły one?

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, że każde nasze posunięcie było dla nich bezpośrednim i realnym

niebezpieczeństwem, podczas gdy ich postęпки były raczej demonstracją siły. Nasz wróg wcale nie jest z piekła rodem, takim uczyniły go nasze niezrozumienie i strach.

- Chciałbym bardzo, żeby to nie były domysły.

- To nie są domysły! Porozumienie jest możliwe, tylko niewłaściwe były wyjściowe założenia strategii kontaktów. Usiłowaliśmy porozumieć się z nimi za pomocą umysłowych abstrakcji i naukowych pojęć w sytuacji, kiedy z ich punktu widzenia jesteśmy z piekła rodem !

Trzeba sięgnąć do podstaw, podstaw wspólnych dla wszystkich stworzeń. Złem dla każdej formy życia jest wszystko to, co przeszkadza, szkodzi, zagraża jej istnieniu; dobrem natomiast wszystko to, co jej sprzyja. Tak jest wszędzie, pod wszystkimi słońcami, gdyż żadna cywilizacja nie może bezkarnie zmieniać kryteriów dobra i zła. Dlatego mamy szansę, co prawda niepewną, ale musimy z niej skorzystać. Teraz decyduj.

Kapitan zamyślił się.

- Sarn pójdziesz? - w jego głosie nie było pewności.

- Tak.

- Możesz nie wrócić.

- Wiem, ale to ja nawarzyłem tego piwa.

Mięśnie karku zeszywniały z napięcia, ale Ev nie odwracał się. Przez cały czas czuł na sobie wzrok, nawet tam gdzie na przestrzeni wielu metrów dokoła nie mogło kryć się stworzenie większe od myszy. Całą siłą swojej woli zmuszał się do tego, by iść spokojnie. Szedł znajomymi korytarzami, które teraz wydawały mu się obce i nieskończenie długie. Właściwie nie tyle szedł, co balansował na kruchym mostku nadziei i nie sprawdzonych przypuszczeń, który mógł w każdej chwili runąć. No cóż, nie on pierwszy sprawdzał w ten sposób słuszność swoich teorii.

Przy trzecim czy czwartym skrzyżowaniu zmuszony był się zatrzymać, gdyż w ścianie ział otwór. Ach, więc to w ten sposób obchodziły pułapki! Na myśl o tym, jakie instalacje znajdują się w tych ścianach oraz ile ich jest, zrobiło mu się słabo. Na podłodze leżała kupka metalicznego proszku.

Ev kucnął i zajrzał w otwór. To, co zobaczył, mogło przestraszyć każdego.

Ani jeden przewód nie był uszkodzony, ale wszystkie były starannie obnażone niczym naczynia krwionośne w czasie operacji. A my myśleliśmy, że w każdej chwili wyłapiemy je. Ale dlaczego pozwoliły mi to zobaczyć?

Dlatego, że to niczego nie ranienia - sam sobie odpowiedział Ev. - Dlatego, że każda próba załatania otworów zostanie natychmiast sparaliżowana, zostaną uszkodzone obwody homeostatyczne i silnik... Lepiej o tym nie myśleć.

Zdążył zobaczyć jeszcze dwa takie otwory, nim w przedzie ukazały się masywne drzwi komory witalizacyjnej. Otworzył je i nie zwlekając ani sekundy przystąpił do ożywiania pseudogadów. Przez cały czas, gdy manipulował przy aparaturze, wytwarzał powietrze Bissery, wydawało mu się, że drzwi, które zostawił otwarte, lada moment zatrzasną się. Kiedy już było po wszystkim, kiedy zwierzęta zaszyły się w ciemnych kątach pomieszczenia, zapragnął oprzeć się o ścianę. i zamknąć oczy. Ale musiał zrobić coś jeszcze. Usunąć pułapki. Ostatni przyjacielski gest... Tylko czy nie zostanie on uznany za kapitulację?

Ev spojrział na uwolnione zwierzęta. Jakaś istota sapała za kloszem, pozostałe siedziały cicho, jakby ich w ogóle nie było. Syczały pompy tłoczące powietrze obcej planety. Biedne, sparaliżowane strachem niższe stworzenia obcej planety. A jakie były wyższe, rozumne? Coś straszego spadło na nie tam, gdzie czuły się całkowicie bezpieczne, zajmowały się swoimi sprawami, nie spodziewały niebezpieczeństwa - co najwyżej w ostatniej chwili przeraził je spadający z nieba cień. Potem był już tylko strach, mrok i przebudzenie nie wiadomo gdzie, w obcym, wrogim świecie.

Oczywiście, ich pierwsze posunięcia były głupie - pomyślał Ev zamykając drzwi. -

Przynajmniej z naszego punktu widzenia. Na szczęście zachowały rozsądek. A więc jeszcze nie wszystko stracone. Dla nich... A być może i dla nas. Natychmiast przywołał się do porządku. Nie ma żadnych dowodów na to, że właściwie zrozumiały to, co zrobił. Żadnych? Przecież dotąd żyje!

Ciekawe, co on zrobiłby w identycznej sytuacji? Powstrzymałby się czy też wykończyłby wroga,

który sam pcha się w ręce? Cywilizacja diametralnie różna od naszej. Zwrócona wewnątrz siebie cywilizacja. Szczelnie zamknięty dla nas świat, bowiem my nie rozumiemy, jak można wszystko, czego się potrzebuje, wytwarzać z własnego ciała, a one nie pojmują, jak można żyć inaczej.

Tak, czego jak czego, ale standardu wszechświat jest pozbawiony.

Pozostało siedem nie usuniętych pułapek. Pięć. Dwie. Ani jedna.

Ev wracał wykończony. Nadal towarzyszyły mu spojrzenia niewidocznych oczu.

Nic się nie zmieniło.

Nie, a właśnie, że się zmieniło. Otwory, obok których szedł, ziały jak przedtem. Wszystkie prócz ostatniego. Był on załatany tak starannie, że miejsce, w którym się znajdował, zdradzał jedynie świeży blask metalu.

Opisując w przestrzeni ogromny łuk kosmolot zawracał ku Bisserze.

Luki otworzyły się wreszcie. Kapitan odetchnął z taką ulgą, jakby spadł mu z pleców co najmniej Elbrus. Kiedy jednak po godzinie czasu od lądowania nic nie ukazało się w lukach, jego cierpliwość wyczerpała się.

- Czemu one zwlekają? Nie poznają zapachu wiatru ojczystej planety?

Ev wzruszył ramionami.

Zwierzęta pojawiły się jednak. Stoczyły się po pochylni i natychmiast wzbiły się w zielone - łaskawe niebo Bissery. Niebo przyjęło je, ale przebywały tam niedługo.

- Zupełnie jak żrebaki - powiedział kapitan patrząc przez lornetkę na skaczących po wzgórzach braci w rozumie.

- Chyba się domyślam, dlaczego tak długo nie wychodziły - zauważył Ev. - Zejdźmy do środka. Będę bardzo rozczarowany, jeżeli okaże się, że się pomyliłem.

- Patrz - pogładził metal, który błyszczał tam, gdzie przed lądowaniem ziały dziury. - Rozum zawsze i wszędzie jest rozsądny, gdyż bez zrozumienia innych trudno jest przetrwać, prawda?

przekład : Michał Siwiec

**ILIA WARSZAWSKI**

# POJEDYNEK

Przy końcu schodów przesadził poręcz i pomknął przez westybul. Czasu pozostało niewiele, równo tyle, by zająć pozycję wyjściową na początku alei, rozwalić się na ławeczce i doczekawszy się

wyjścia drugiego roku zaprosić ją na mecz. Następnie zjedzą kolację w studenckiej stołówce, po czym... Co będzie później, nie wiedział. W takich sprawach zawsze polegał na swojej intuicji.

Był już myślami w parku, kiedy w głośniku rozległ się głos - Studenta pierwszego roku, Mucharzyńskiego, indeks fenotypu tysiąc trzysta osiemdziesiąt sześć łamane przez szesnaście em be pilnie wzywa do siebie dziekan wydziału radiotechnicznego.

Decyzję trzeba podjąć natychmiast. Do zbawczych drzwi pozostało zaledwie kilka kroków.

Złożywszy usta w trąbkę, odchyliwszy rękami uszy, zmrużywszy lewe oko i utykając na prawą nogę spróbował przemknąć obok analizatora fenotypu.

- Przestańcie pajacować, Mucharzyński ! To już był głos samego dziekana. "Spóźniłem się!"

W ciągu ułamków sekundy urządzenie analityczne na podstawie wskazanego indeksu wyszukało go wśród dziesięciu tysięcy studentów i teraz obraz wykrzywionej gęby widniał na teleekranie w gabinecie dziekana. Mucharzyński przywrócił wargom normalne położenie, puścił uszy i z wciąż jeszcze zmrużonym okiem zaczął rozcierać kolano prawej nogi. Chwył ten, jak sądził, powinien był przekonać dziekana, że to nagły atak reumatyzmu. Ciężko westchnąwszy, wciąż jeszcze utykając, skierował się na drugie piętro. Przez kilka minut dziekan z zainteresowaniem przyglądał się jego fizjonomii. Twarz Mucharzyńskiego przyjęła odpowiadający sytuacji wyraz ponurego skupienia. Obliczał on w myślach, ile trzeba mu będzie czasu na dogonienie tej studentki drugiego roku, jeżeli dziekan...

- Powiedźcie, Mucharzyński, czy was coś w ogóle interesuje?

Dziwne pytanie. Interesowało go wiele rzeczy. Po pierwsze to, kogo bardziej kocha: Nataszę

czy Musię; po drugie, pozycja "Spartaka" w tabeli turniejowych rozgrywek; po trzecie, ta studentka drugiego roku; po czwarte... słowem, krąg jego zainteresowań był dość szeroki, ale nie warto było wtajemniczać w to wszystko dziekana.

- Interesuje mnie zawód inżyniera radiotechnika odpowiedział skromnie.

Było to prawie zgodne z prawdą. Wszystkie jego życiowe plany w ten lub inny sposób ściśle związane były z pobytem w miasteczku uniwersyteckim, do którego, jak wiadomo, ludzie przyjeżdżają po to, by... i tak dalej.

- W takim razie możecie mi wyjaśnić, dlaczego pod koniec drugiego semestru nie zdaliście ani jednego zaliczenia?

Oj, niedobrze - pomyślał Mucharzyński - skreślą, jak amen w pacierzu, skreślą.

- Może dlatego, że specyfika maszynowego nauczania... zaczął niepewnie.

- O właśnie, sperka - przerwał mu dziekan. - Już trzy automaty uczące odmówiły zajmowania się wami. Na co wy liczycie?

Najtaktyczniej było uznać to pytanie za retoryczne i pozostawić je bez odpowiedzi.

Dziekan z zadumą bębnił palcami w stół. Mucharzyński patrzył przez okno. Alejką szła rudowłosa studentka drugiego roku. Idący obok niej dryblas w błękitnej podkoszulce niósł wioślą. Chyba wszystko jasne. Drugi bilet na mecz trzeba będzie odstąpić komuś, w pobliżu stadionu zawsze kręci się dużo ładnych medyczek.

- Nie chciałbym was skreślać nie przekonawszy się uprzednio, że próby dania wam inżynierskiego wykształcenia skazane są na niepowodzenie. Mucharzyński najchętniej zrejterowałby, ale było to ryzykowne.

- Bardzo się cieszę - powiedział opuściwszy głowę - że wierzy pan jeszcze w moje możliwości...

- Gdyby mowa była o pańskich możliwościach, to już od dawna nie byłoby pana na liście

studentów. Ja mam na myśli możliwości automatów uczących, w które jeszcze wierzę. Słyszeliście o UWZSZ?

- Oczywiście... to... Pauza stawała się męcząca.

- Oczywiście, że słyszeliście - uśmiechnął się dziekan przecież na pewno czytacie wszystkie prace katedry automatów uczących. UWZSZ to Uniwersalny Wykładowca ze Sprzężeniem Zwrotnym. Mam nadzieję, że wiecie, co to takiego sprzężenie zwrotne?

- No cóż, w ogólnych zarysach... - powiedział ostrożnie Mucharzyński.

- Będę demonstrować UWZSZ na międzynarodowym kongresie w Wiedniu. Teraz w celu określenia jego funkcjonalnych możliwości, uczy on kontrolną grupę studentów. Bardzo nie chciałbym w wyraźny sposób obniżać średniej ocen jego uczniów, ale elementarna przyzwoitość każe mi wypróbować go na takiej... hmm... takim... e-e-e... no, słowem na was. Krótko mówiąc, włączam pana do kontrolnej grupy.

- Dziękuję.

- Mam nadzieję, że wbije on panu do głowy przynajmniej minimalną ilość wiadomości, jego schematy...

Schematy jakichś tam automatów niewiele interesowały Mucharzyńskiego. Z wyrazem napiętej uwagi na twarzy myślał o tym, że prawdopodobnie kończy się już pierwsza połowa i że w najgorszym wypadku Natasza...

- ... W ten sposób w czasie nauki wasz mózg tworzy jedną całość z urządzeniem analitycznym automatu, które bez przerwy zmienia taktykę nauczania w zależności od przebiegu przyswajania materiału przez studenta. Jasne?

- Jasne.

- Dzięki Bogu! Możecie iść.

... tysiąc trzysta czterdziesty drugi rekonesans logiczny, szesnasty wariant dowodu teorii i



znów urządzenie blokujące przekazuje sygnał: "Materiał nie przyswojony". Zmiana taktyki. Znow rekonesans logiczny. "Udowodnienie teorii wymaga posiadania wiadomości z zakresu szkoły średniej." Rozkaz: "Przystąpić do wykładania początków algebry". Sygnał: "Materiał przyswojony w stopniu dostatecznym", przeskok na dowód teorii, pod koniec dowodu - sygnał: "Wyjściowe wiadomości zapomniane", znow rozkaz, znow rekonesans logiczny... Na tablicy zapala się czerwony sygnał: "Przegrzanie"; z transformatora wali dym.

Automat wyłącza się.

Mucharzyński zdejmuje z głowy dipol i wyciera pot. Tego jeszcze nie było! On czuje nawet sympatię do starego elektronowego lektora-egzaminatora. Z nim jest nieporównanie łatwiej : można przespać cały wykład, a potem po prostu nie odpowiedzieć na pytanie. Przy UWZSZ człowiek nie uśnie ! Dobrze, że automatyczny system bezpieczeństwa od czasu do czasu wyłącza go.

Rozmyślania Mucharzyńskiego przerywa dzwonek wideofonu. Na ekranie dziekan.

- Dlaczego próżnujecie? - Automat się chłodzi.

Na nieszczęście na tablicy zapala się zielona lampka. Mucharzyński wzdycha i umocowuje na głowie dipol. Znow logiczny rekonesans i w mózgu Mucharzyńskiego pojawiają się znenawidzone przezeń równania. Usiłuje walczyć z automatem, myśli o tym, co by było, gdyby Demientiew nie spudłował pod koniec drugiej połowy, próbuje wyobrazić sobie studentkę drugiego roku w dwuznacznych sytuacjach, ale wszystko na nic.

" logiczny rekonesans, sygnał, rozkaz, zmiana taktyki, sygnał, logiczny rekonesans...

Upływa siedem dni i o cudo! Nauka już nie wydaje się Mucharzyńskiemu tak męcząca.

Automat widać też się do niego przystosował. Coraz rzadziej zapalają się sygnały przegrzania.

Upływa jeszcze tydzień i znow głośniki drą się na cały instytut:

- Studenta pierwszego roku, Mucharzyńskiego, indeks fenotypu tysiąc trzysta osiemdziesiąt sześć łamane przez szesnaście em be wzywa dziekan wydziału radiotechnicznego. Tym razem nie

chowa się przed wszystkowiedzącymi oczami fenologicznego analizatora.

- Gratuluję wam, Mucharzyński - mówi dziekan - jak się okazuje, macie niezwykle zdolności.

Po raz pierwszy w życiu Mucharzyński rumieni się.

- Sądzę - odpowiada skromnie - że należałoby raczej mówić o zadziwiających możliwościach

UWZSZ, to rzeczywiście wspaniały wynalazek.

- Kiedy mówię o waszych zdolnościach, to mam na myśli właśnie was, co zaś się tyczy

IJWZSZ, to dwutygodniowy kontakt z wami nie wyszedł mu na dobre. Teraz nie jest to już zwykły

automat, lecz jakiś donżuan, Casanova, po prostu babiarz, - stawia wyższe oceny tylko ładnym

studentkom. Ponadto stał się zajadłym kibicem piłkarskim i zaraził tą pasją całą kontrolną grupę

studentów. Niesamowicie się rozleniwił. Jutro go demontujemy, a was, sami rozumiecie... -

Rozumiem. Życzę panu dalszych sukcesów w nauczaniu tych... hmm... no słowem, studentów.

Ukloniwszy się nisko Mucharzyński ruszył w stronę drzwi.

- Dokąd?!

- Jak to dokąd? Kupić bilet do domu. Przecież skreślił mnie pan z listy studentów.

- Rzeczywiście. skreśliliśmy pana z listy studentów, ale za to mianowaliśmy starszym

laborantem katedry automatów uczących. Odtąd ani jedna maszyna ze sprzężeniem zwrotnym nie

opuści laboratorium nie wytrzymawszy pojedynku z warni. Jesteście dla nas bezcennym skarbem!

przekład : Michał Siwiec

# DYMITR BILENKIN

## CHŁÓD NA TRANSPLUTONIE

Promień światła wznicił pod nogami lodowe płomienie, ciemności uniosły się ku górze jak dym.

Później, pod wpływem zmęczenia się wzroku monotonią, światło zamieniło się w owal przezroczystej materii, w której ciałem trzeba było torować drogę przez stawiające opór ciemności.

Tam gdzie obłok rozpruwały iskrzące klingi brył, światło wyciekało na boki zastygając płaskimi kałużami, a kiedy promień lampy przesuwiał się, to wydawało się, że światłonośny owal pełza podrygując z bólu. Wrażenie było tak silne, że Igonin musiał przekonywać sam siebie: To omam wzrokowy. Promień światła nie zmniejsza średnicy, nic podobnego, to światło, a nie płyn w dziurawym worku. Mniej więcej o tym samym myślał Simakow: Tak, to nie Antarktyda chłodną nocą. Podobne, a przecież nie to samo. - Ciemno jak u diabła w kieszeni - powiedział głośno. Radio obcięło wysokie tony i słowa zadźwięczały w uszach Igonina poszczękiwaniem membrany.

Należało przejść jeszcze około kilometra.

Błyszczący, matowy, gąbczasty, biały, błękitnawy, to mętny, to znów przezroczysty lód pod nogami był wodorem, dwutlenkiem węgla, metanem, amoniakiem, neonem - szli po powierzchni atmosfery. Par gazów nie było widać, ale istniały one, bo przesłaniały gwiazdy. Ludzie wiedzieli, że po obu ich stronach ciągnie się bezkresna równina, a nad głowami biliony lat kosmicznej pustki, a mimo to było im fizycznie ciasno. I gdyby nie trening, mogłaby owładnąć nimi psychoza zamkniętej przestrzeni - tak jak to miało miejsce podczas jednej z pierwszych wypraw na Transpluton. Chociaż szczelin i zapadlin mogli się nie obawiać (ręczne lokatory uprzedziłyby o nich na czas), to jednak Igonin i Simakow szli bez pośpiechu, z ową powolnością, jaka właściwa jest człowiekowi znajdującemu się w zamkniętej i ciemnej przestrzeni. Była to typowa podświadoma reakcja dziennej istoty na nieprzenikniony mrok. Samo poruszanie się po Transplutonie, w przeciwieństwie do

polarnych obszarów Ziemi, niczym im nie groziło. Nie było tu zmian pogody, nie było (w dokładnym znaczeniu tego słowa) wiatru, a tym bardziej huraganu. Planeta była sejsmicznie martwa. A jednak w obłoku par od czasu do czasu zaczynało coś się dziać. W pewnym momencie Igoniowi wydawało się, że promień latarki dał w ciemnościach słabiutki odblask. Jakby gdzieś wysoko nad głową zamigotał płatek śniegu. Potem zamigotało ich już kilka. Wątpliwości przysły - to były gwiazdy...

Zasłona nocy opadała szybko i bezdźwięcznie. Początkowo oczyścił się nad ich głowami krąg. Opasywał go pierścień gazów. Obracając się rósł w oczach, aż zlał się z horyzontem.

- Wyłączmy światło - powiedział Igonin.

Nie, noc nie znikła. Nie mogła zniknąć w tej odległości od Słońca. A jednak ludzie odetchnęli z ulgą. Nad nimi było niebo szerokie, gwiazdziste, mroczne niebo, równie nieruchome jak wszystko dokoła. W każdym razie zrobiło się przestronniej.

Jak na komendę odwrócili się w tę stronę, gdzie nisko nad horyzontem stało Słońce - wielka żółta gwiazda, która tu nie dawała ani światła, ani cienia. Spojrzeli przed siebie. Czarna równina raptownie ginęła za horyzontem, nad którym ciągnęła się Droga Mleczna. Czuli się tak, jakby stali na skraju przepaści. Szeroka, lodowa płaszczyna jakby zawisała nad przestrzeniami międzygwiazdnej pustki, w którą można było spadać przez całą wieczność, lecieć miliardy lat, nie sięgając dna... Oczywiście nie było to nic innego, jak gra wyobraźni, a jednak...

Niesamowite - Simakow zmusił się do uśmiechu. -Zaczynam rozumieć tego mnicha - pamiętasz obrazek w podręczniku? - który doszedł do krańców Ziemi i zajrzał... w nicość. Ostatecznie, co to za różnica, skąd się patrzy na gwiazdy.

- Różnica mimo wszystko jest - cicho odpowiedział Igonin. - Psychologiczna. Tak, rozumiem cię. Wiemy, że znajdujemy się na krańcach Systemu Słonecznego i że tam wyciągnął przed siebie rękę - nie ma niczego.

Przy tych słowach obaj poczuli się tak, jakby spoza horyzontu powiał chłodny wiatr, i chociaż skafander grzał tak jak przedtem, Simakow potrząsnął ramionami.

- Bzdura - powiedział głośno. - Tam są inne gwiazdy, inne planety, a jeszcze dalej inne Galaktyki. Kiedyś tam polecimy... Ostatecznie za mini jest taka sama pustka.

- Wcale nie taka sama. W końcu wiemy, że tam jest Ziemia; ciepłe Słońce, stacje międzyplanetarne, ożywiona przestrzeń, dom - wszystko to, czego nie ma przed nami. No, czas ruszać dalej.

Gwiazdy ledwie rozjaśniały granie lodowych skał, znaczyły ich kontury, więc oczywiście nie można było iść przy takim świetle. Zapłonęły latarki. W ich blasku zniknęły wszystkie niezbyt jasne gwiazdy. Uczucie braku miejsca, zamknięcia opuściło ludzi. Ale kontakt z nieskończonością sprawił, że nie opuszczało ich uczucie otwartej, zbyt otwartej; zbyt gołej, obcej im przestrzeni. Psycholog byłby pewnie zauważył, że i to uczucie jest atawizmem wywodzącym się z czasów, kiedy przodkowie człowieka żyli w lesie, atawizmem, który budzi się w mieszcuchu na pustyni, a u koczownika na widok nieznanych i mrocznych przestrzeni. Teraz światło dawało ludziom iluzję obrony, choć z punktu widzenia rozsądku wszystko to było bzdurą. Jakie bowiem znaczenie warunki zewnętrzne mogły mieć dla ludzi, którzy mieli na sobie skafandry?

- Pssst... - syknął Simakow.

- Co takiego?

- Nic. Po prostu przysła mi na myśl legenda o zmarzniętych dźwiękach. Głupia asocjacja myśli. Przecież to pod naszymi nogami to nie lód. To grobowe płyty. Tak sobie myślę, że skutymi mrozem zgęszczeniami atomów, ciemnościami, ciszą i chłodem skończy się wszystko, kiedy zgaśnie ostatnia gwiazda.

- A ktoś tu niedawno mówił o lotach do innych Galaktyk... Tak, słowo "lód" nie jest tu na miejscu, ale innego niestety nie mamy. I cóż z tego. Może właśnie cel i sens rozumu zawiera się w

tym, aby nie dopuścić do takiego złodowacenia świata.

- Możliwe, ale na razie włada tu chłód. I to działa na nerwy.

- Wyobraź sobie, że spacerujesz po Saharze. Od razu będzie ci lżej.

Wkrótce jednak przekonali się, że nie wszystko skamieniało. W spadzistym wyżłobieniu przegrodził im drogę wąski pas nieruchomej cieczy. Jak w lustrze kropkami płonęły w niej gwiazdy. Promień latarki oświetlił dno - ciecz była zupełnie przezroczysta, głębokość jej nigdzie nie przekraczała pięćdziesięciu, sześćdziesięciu centymetrów. Simakow odczepił od pasa odległościowy analizator.

- Zaledwie quasi-skupienie szlachetnych gazów. Chyba nie ma sensu omijać tej kałuży, co? A strach...

- Co strach?

- Wchodzić. Kiedy człowiek pomyśli o temperaturze tej mieszanki...

- Przecież ona jest wszędzie jednakowa.

- Wiem.

Simakow ruszył pierwszy. Igonin widział, jak ciecz bez plusku zamknęła się powyżej kolan Simakowa, jak drgnęły gwiazdy, rozeszły się kręgi, jak te kręgi zamarły. Usłyszał krzyk kolegi, któremu towarzyszył niezdarny gest. Rzucił się przed siebie, jakby chcąc uprzędzić podejrzenia. Tak jak przypuszczał, płyn, zamiast rozstąpić się pod podeszwą buta, otoczył nogę jak kamienna płyta.

- Ona mnie pochwyciła! - krzyknął Simakow wykręcając się całym ciałem.

- Przecież to metastabilna ciecz! - wykrzyknął Igonin. Stój spokojnie, oswobodzę cię...

Wezwanie było zbyteczne. Obaj wiedzieli doskonale, że stan metastabilizacji charakteryzuje się tym, że substancja jest płynna w temperaturze znacznie niższej od progu krystalizacji, ale wystarczy pyłek, dotknięcie, aby błyskawicznie zastygła. Wyciągnął nóż termiczny. Simakow już nie próbował się uwolnić; patrzył tylko na swoje skute lodem nogi, które przerażały go swą

bezbronnością. Przerazały go nie te pałakowate prześwitujące przez lód metaliczne nogi, ale te, które się w nich kryły, te gołe, z krwi i kości. Strach ma swoje prawa i swoją sferę rzeczywistości. Igonin zaczął działać, gdy tylko zrozumiał przyczyny wypadku, i pracował z realnym poczuciem rzeczywistości, i która niczym - według niego - Simakowowi nie groziła, a wymagała jedynie wykonania szeregu czynności wydobywania narzędzia, wycięcia lodu i uwolnienia towarzysza. Stan Simakowa był krańcowo różny. On został niespodziewanie schwyty, i to schwyty przez coś, co już od dawna napawało go strachem.

- Dlaczego nie wyciągasz swojego noża?! - krzyknął do niego Igonin.

Simakow jakby się ocknął, gdyż razem z kolegą zaczął ciąć lód.

- No i jakie było to zejście do "mogiły Wszechświata"? zapytał Igonin, kiedy Simakow uwolnił się wreszcie i zrobił pierwszy krok na sztywnych nogach.

- Dobra, dobra, nie patrz jak zaszczute zwierzę. Mamy mało czasu, ruszajmy - dodał i odwrócił się pogwizdując. Mgła, która podniosła się w czasie cięcia lodu, była tak gęsta, że kiedy Igonin wydostał się z niej, z tyłu za sobą zauważył jedynie słabo tłący się ognik reflektora. Kołysał się on to znikając, to znów urastając do rozmiarów ognistego oka.

- Nie możesz szybciej? - rzucił i długo czekał na odpowiedź, której nie było. Oczko reflektora zamarło i nie poruszyło się więcej. Oszołomiony patrzył jeszcze nie wierząc w nieszczęście, ale już czując, że bardziej obawia się tego bezruchu aniżeli milczenia przyjaciela.

- Simakow !!!

Od krzyku zadzwoniło mu w uszach. Potem nastąpiła cisza, długa, mogąca przyprawić o szaleństwo, w której słabo zabrzmiało jedno jedyne słowo:

- Zamarzam...

W głosie tym, który raczej odgadywało się, niż słyszało, nie było ani strachu, ani walki, tylko pokora. Poderwał się z całych sił, mgła zakołysała się i wprost przed sobą zobaczył czarny posąg o

białej twarzy, z oczami, które były martwe i szklane.

Dziko rozejrzał się dookoła, jakby gdzieś w pobliżu mogła się znajdować pomoc. Nad kopułą mgły stygły rzadkie gwiazdy, zaś z tyłu za nim leżała czarna równina, którą na moment rozjaśnił chaotycznie miotający się promień latarki. Za późno! Simakow był już tak samo nieruchomy i niemy jak wszystko to, co go otaczało.

... Wnosząc ciało Simakowa do kabiny skydra Igonin nie widział ani pomagającego mu pilota, ani lekarza, który na widok Simakowa wydał okrzyk zdziwienia. On w myślach widział siebie na miejscu towarzysza po kolana zakutego w lód; mógł wtedy przewidzieć, ale nie przewidział, że właśnie przy takim ucisku może się ujawnić ukryty defekt skafandra, wbrew obliczeniom, wbrew doświadczeniu, wbrew temu wszystkiemu, co wiedzieli o jego niezawodności. Oprzytomniał dopiero wtedy, kiedy wszedł lekarz, który zamierzał rozpiąć skafander Simakowa.

- Ostrożnie! Ciepło, jeśli on nie całkiem zamarzł...

- Nie. rozwinie pan? Szyba hełmu nie jest zaparowana. Szybkim ruchem obnażył pierś

Simakowa i przyłożył do niej kardioskop. Igonin aż się zatoczył: głośnie, wypełniające całą cabinę uderzenie serca eksplozją odezwało się w jego świadomości.

- Przekonał się pan? -lekarz podniósł głowę. Skafander wytrzymał, nie wytrzymał człowiek.

Strach przed uduszeniem, strach przed zamkniętą przestrzenią - to teraz nowy podarunek dla medycyny: kosmochlodofobia. Przyczyną omdlenia nie jest sam chłód; lecz lodowata myśl o nim, rozumie pan?

- Ale jakże to tak?! W kosmosie, w przestrzeni, chłód jest tak samo straszny, a przecież nikt nigdy...

- W kosmosie nie ma on oblicza - odpowiedział lekarz przygotowując strzykawkę - może-właśnie dlatego?

Michał Siwiec



przekład : Michał Siwiec

**WŁADLEN BACHNOW**

## **DZIEŃ DOBRY, JESTEM MEFISTOFELES**

Sala była przepelniona. I choć wykład trwał już półtorej godziny, audytorium słuchało młodego uczonego z niesłabnącą uwagą.

. . . Niestety współczesna nauka nie dysponuje bezpośrednimi dowodami na to, że przedstawiciele innych cywilizacji kiedykolwiek odwiedzali Ziemię. Ale przecież dziesiątki mitów, apokryfów, podań i legend zawierają zaszyfrowane, a czasami i zniekształcone wspomnienia ludzkości o spotkaniach z przybyszami z gwiazd.

Jeżeli wspomnienia te ostrożnie oczyścić z późniejszych naleciałości i prawidłowo rozszyfrować, to przekonamy się, że w czasie swego niewiarygodnie krótkiego w kosmicznej skali istnienia ludzkość nieraz już stawała się przedmiotem bacznej obserwacji ze strony rozumnych istot z innych światów.

Z tego punktu widzenia chciałbym tu dla przykładu dokonać analizy jednej z najbardziej interesujących i popularnych legend - legendy o doktorze Fauście, co do której nie ma wątpliwości, iż posiada historyczne podstawy.

Nawet przy powierzchownym zaznajomieniu się tak z samą legendą, po raz pierwszy wydaną drukiem w 1587 roku, jak i jej licznymi wariantami, natychmiast rzuca się w oczy pewien interesujący szczegół. Czemu Mefistofelesowi tak bardzo potrzebny był sędziwy Faust?

Jak wiadomo, od pierwszego dnia swego istnienia kościół twierdził, że ludzkość pogrążyła się w grzechu. Nie jesteśmy dziś w stanie powiedzieć, przy jakim stosunku ludzi pobożnych do grzeszników ludzkość z punktu widzenia kościoła była grzeszna, a przy jakim - nie. Ale jeśli nawet założyć, że w czasach Fausta liczba grzeszników miała się do liczby ludzi pobożnych jak 1 :100, a przy tym uwzględnić tak charakterystyczną dla średniowiecza wysoką śmiertelność, to każdy

zrozumie, że piekło nie mogło narzekać na brak grzeszników. A więc dla Lucyfera to, czy będzie w piekle o jedną duszę więcej lub mniej, nie mogło mieć zasadniczego znaczenia.

W tej sytuacji należałoby zapytać, dlaczego Mefistofeles, tak piekielnie w dosłownym znaczeniu tego słowa, wysiłał się, by zdobyć duszę jakiegoś tam doktora?

Proszę sobie przypomnieć, czegoż to nie proponuje Mefistofeles Faustowi w zamian za jego podpis: i wiedzę, i pieniądze, i sławę, i młodość, a nawet władzę. Przecież on, Mefistofeles, zostaje sługą, a nawet niewolnikiem Fausta po zawarciu tej fatalnej dla siebie umowy. Dlaczego poszedł na to? W czym rzecz?

Legenda nie daje odpowiedzi na podobne pytania. A rzecz, jak mi się wydaje, przedstawia się następująco.

Jak państwo sądzą, kim był Mefistofeles? Wysoko postawionym diabłem? Osobistym wysłannikiem Lucyfera? Może samym Lucyferem? Nie, oczywiście, że nie!

W takim razie może był on zwykłym człowiekiem, którego fantazja bezimiennych autorów legendy przekształciła w czort wie kogo? Też nie! Mefistofeles nie był człowiekiem w normalnym znaczeniu tego słowa.

Kim więc był?

Przybyszem z innej planety, przedstawicielem niezwykle wysoko rozwiniętej cywilizacji - oto kim był ten, którego dalej umownie będziemy nazywać Mefistofelesem. Rozumiem doskonale, że takie stwierdzenie brani trochę zaskakująco i dziwnie. Ale proszę-spróbować z punktu widzenia tej hipotezy rozpatrzeć opisywane w legendzie wydarzenia, a wszystko stanie się dla państwa jasne i zrozumiałe.

Skąd przyleciał Mefistofeles? Tego na razie nie wiemy. Być może z Marsa, być może z jednej z najbliższych położonych od nas gwiazd (na przykład 61 Łabędzia), a być może z innej Galaktyki.

(Umówmy się, że planetę Mefistofelesa nazywać będziemy od pierwszej litery jego imienia - planetą

M). Po co przyleciał Mefistofeles? Po to samo, po co my zamierzamy lecieć na sąsiednie planety: w celach naukowych. Niewykluczone, że do zadań Mefistofelesa należało wyjaśnienie następujących rzeczy:

- a) czy w ogóle na Ziemi jest życie;
- b) czy jest nadzieja na to, że na tej zagadkowej planecie pojawią się kiedyś tak zwane rozumne istoty;
- c) jeśli takowe niespodziewanie się już pojawiły, to na jakim poziomie w danej chwili znajduje się ziemska cywilizacja, i tak dalej...

Jak wiadomo, przed spotkaniem z Faustem Mefistofeles zdążył znaleźć odpowiedzi na te pytania... Ale bądź to za sprawą swego pozaziemskiego pochodzenia, bądź to z powodu swych cech charakteru Mefistofeles wszystko to, co działo się na Ziemi, objaśniał w sposób nadzwyczaj subiektywny, na co nawiasem mówiąc nieraz zwracał mu uwagę doktor Faust. (Proszę sobie przypomnieć ich niezliczone spory, w czasie których tak jedna, jak i druga strona w polemicznym zaciętrzewieniu naplotła niemało głupstw). Prawdopodobnie ci, którzy posłali Mefistofelesa na naszą planetę, przewidzieli, jak nieobiektywne, jednostronne, a co za tym idzie - wątpliwe, będą informacje uzyskane przez Mefistofelesa w tej skomplikowanej ekspedycji. I dlatego (tu zbliżam się do najważniejszego punktu swej hipotezy) Mefistofelesowi kazano przy powrocie na M zabrać ze sobą jednego z mieszkańców Ziemi, znacznie lepiej orientujących się w sprawach ojczystej planety niż przybysz z innego świata.

Co prawda my sami też nie zawsze wiemy, co się u nas dzieje, ale o tym emscy uczeni mogli nie wiedzieć.

A więc Mefistofeles miał dostarczyć na M Ziemiańszaka. Naturalnie starał się wybrać najgodniejszego, najbardziej wykształconego przedstawiciela epoki. Po długich rozmyślaniach i poszukiwaniach wybór Mefistofelesa padł jednak nie na jakiegoś znanego dworzanina czy nawet

króla - nie, on wybrał poważnego uczonego, którego encyklopedyczna wiedza i naukowa sumienność nie budziły wątpliwości.

To właśnie tłumaczy fakt, dlaczego Mefistofelesowi potrzebny był Faust, a nie ktoś inny.

Ale rozumując w ten sposób musimy zapytać: czy szanowny uczoney wiedział, kim jest Mefistofeles? Nie, nie wiedział!

A czy Mefistofeles próbował wytłumaczyć mu, skąd i w jakim celu przybył? Nie, nie próbował. Więcej, podejrzewam nawet, że Mefistofeles przekonał Fausta, iż przybył bezpośrednio z piekła. Dlaczego? A dlatego. Przeprowadźmy następujący eksperyment myślowy. Wyobraźmy sobie, że dziś na Ziemi pojawił się diabeł i składa wizytę współczesnemu uczonemu. Za kogo się poda? Za diabła? W żadnym wypadku! Bo inaczej długo będzie musiał przekonywać niewierzącego uczonego, że to nie jest idiotyczny żart.

Ale jeśli uwzględni charakterystyczne dla naszych czasów zainteresowanie problemami kosmicznymi i przedstawi się jako przybysz z kosmosu, uczoney odniesie się do jego pojawienia się z wielkim zainteresowaniem i zgodzi się pójść z przybyszem, dokąd ten zechce:

Tak to wygląda dziś. Ale w średniowieczu wszystko było na odwrót. Gdyby wtedy Mefistofeles odkrył karty i powiedział mu całą prawdę, Faust po prostu wziąłby go za wariata.

Zresztą, aby udowodnić, że przyleciał z innej planety, Mefistofeles musiałby wyjaśnić średniowiecznemu uczonemu wszystko, poczynając od tego, że Ziemia obraca się wokół Słońca, a kończąc na teorii względności, kwantowej fizyce i schemacie fotonowego silnika.

Bezspornie sędziwy Faust; mimo swych niezwykłych zdolności, nie byłby w stanie przyswoić sobie takiej liczby nowych informacji i wszystko mogłoby zakończyć się w tragiczny sposób, co Mefistofelesa absolutnie nie urzędało. Znacznie prościej było podać się za nieczystą siłę, z którą kontakt uważano wtedy za rzecz straszną, ale powszednią. I, jak wiemy, Faust z łatwością uwierzył w tę mistyfikację. Tym bardziej że wykorzystując nie znane na Ziemi osiągnięcia emskiej

nauki i techniki Mefistofeles umiał przechodzić przez ściany, Latać, stawać się niewidzialny słowem, robić to, co z punktu widzenia Fausta było dowodem przynależności Mefistofelesa do określonej kategorii sług piekła.

Ale dlaczego Mefistofeles musiał tak długo cackać się z Faustem? Czyż nie mógł w podstępny sposób wywieźć go na M? Po co potrzebny był mu własnoręczny podpis doktora?

Myślę, że wszystko to należy tłumaczyć tym, że na planecie M wielki rozkwit przeżywały nie tylko nauka i technika. I w czasie kiedy na Ziemi panowały samowola i bezprawie średniowiecza, na M demokracja znajdowała się już na takim poziomie, a wolność jednostki ceniona była tak wysoko, że jakikolwiek przymus fizyczny w stosunku do jednostki, nawet z innej planety, uważano za rzecz absolutnie niedopuszczalną.

Mefistofeles wiedział, jakie czekają go nieprzyjemności, jeśli naruszy to prawo, i dlatego też bezwzględnie potrzebny był mu własnoręczny podpis Fausta świadczący o tym, że on, Faust, opuścił Ziemię z własnej woli. I podpis ten, jak wiemy, zyskał, przekonawszy uczonego, że ten podpisuje dokument o sprzedaży własnej duszy.

Ale tu nasuwa się delikatne pytanie: jak przedstawiciel wysoko rozwiniętej cywilizacji wychowany w duchu bezgranicznego szacunku dla jednostki mógł oszukiwać biednego starego Fausta? Jak mógł wykorzystać ciemnotę uczonego dla własnych celów?

Tak, tego nie można byłoby wytłumaczyć, gdybyśmy nie uwzględnili tego faktu, że Mefistofeles długi czas kontaktował się z ludźmi. A środowisko, jak wiadomo, wpływa na każdą rozumną istotę.

I jeszcze jedno: wygląd Mefistofelesa: Można oczywiście założyć, że rogami, ogonem, pokrytym sierścią pokrowcem i temu podobnymi atrybutami kosmiczny gość przyozdobił się tylko po to, aby odpowiadać wyobrażeniom Fausta o nieczystej sile. Sądzę jednak, że to nieprawda. Przecież mieszkańcy planety M wcale nie muszą wyglądać tak jak my. I dlatego jest rzeczą

całkiem możliwą, że mają rogi, ogon i tak dalej. Być może są to tylko szczątkowe narządy, coś w rodzaju ludzkiej ślepej кишки. A być może są to organy pełniące określone funkcje. Na przykład to, co nazywamy rogami, może być w rzeczywistości anteną w kształcie litery V, służącą do odbioru telepatycznych transmisji. (Nie na próżno Mefistofeles potrafił czytać myśli na odległość.) A skoro rogi to antena, w takim razie ogon jest oczywiście uziemieniem.

A jeśli przypomnimy sobie, jak z sierści kotów wylatują iskry, to można wysunąć przypuszczenie, że gęsta sierść charakterystyczna dla Emijczyków jest akumulatorem i źródłem prądu zasilającego biowzmacniacze bloków telepatycznych.

Ale dlaczego, możemy zapytać, wygląd zewnętrzny Emijczyków tak pokrywa się z wyglądem nieczystej siły? Otóż mamy tu do czynienia z interesującym, klasycznym przypadkiem zastąpienia przyczyny przez skutek. Kto powiedział, że Mefistofeles to pierwszy Emijczyk, który znalazł się na Ziemi? Czyż nie można założyć, że Emijczycy od niepamiętnych czasów wysyłali na naszą planetę ekspedycję po ekspedycji? I legendy o niezliczonych spotkaniach z nieczystą siłą są odbiciem spotkań ludzi z zagadkowymi Emijczykami, zaś wyobrażenie o wyglądzie diabłów pojawiło się właśnie na skutek wyżej wspomnianych spotkań"

Dlaczego do podobnych spotkań nie dochodziło w ostatnich stuleciach? Być może Emijczycy dość dobrze nas poznawszy zajęli się innymi planetami. A być może na odwrót, zobaczywszy, że ludzie nie są w stanie ich zrozumieć, postanowili poczekać, aż nasza cywilizacja osiągnie poziom niezbędny dla wzajemnego zrozumienia się i kontaktów z rozumnymi istotami innych planet. Być może teraz chwila ta nadeszła. I dlatego powinniśmy być przygotowani na to, że u każdego z nas niespodziewanie może zjawić się gość, który powie: "Dzień dobry, jestem Mefistofeles!"

Z tymi słowy młody uczonek po raz ostatni zerknął na audytorium, poprawił modnie zawiązany krawat i, machnąwszy ręką, zniknął bez śladu.



# ILIA WARSZAWSKI

## NIE MA NIEPOKOJĄCYCH OBJAWÓW

- Nie podobają mi się jego nerki - powiedział Kreps.

Leroix zerknął na ekran.

- Nerki jak nerki. Bywają gorsze. Te były chyba regenerowane. Co z nimi robiono ostatnim razem?

- Zaraz sprawdzę - Kreps wykręcił numer na tarczy automatu.

Leroix odchylił się na oparcie krzesła i mamrotał przez zęby.

- Co pan powiedział? - zapytał Kreps.

- Szósta. Czas przerwać narkozę.

- A co zrobimy z nerkami?

- Ma pan już informację?

- Mam. Oto ona. Całkowite odtworzenie miedniczek nerkowych.

- Niech pan ją da.

Kreps wiedząc, że szef ma zwyczaj nie spieszyć się z odpowiedzią, cierpliwie czekał.

Leroix odłożył taśmę i skrzywił się.

- Trzeba będzie regenerować. Niech pan da także program poprawki genetycznej.

- Myśli pan, że... ?

- Bezwarunkowo. Inaczej po pięćdziesięciu latach nie byłyby w takim stanie.

Kreps usiadł przy perforatorze. Leroix milczał, postukując ołówkiem o brzeg stołu.

- Temperatura wanny wzrosła o trzy dziesiąte stopnia powiedziała siostra.

- Głębokie ochłodzenie do... - Leroix zaciął się. Chwileczkę. No, co tam z programem - zwrócił się do Krepsa.

- Wariant kontrolny na maszynie. Prawdopodobieństwo dziewięćdziesiąt trzy procenty.



- Dobra, zaryzykujemy. Głębokie ochłodzenie przez dwadzieścia minut. Zrozumiała mnie pani? Głębokie ochłodzenie przez dwadzieścia minut. Gradient - pół stopnia na minutę.

- Zrozumiałam - powiedziała siostra.

- Nie lubię mieć do czynienia z dziedzicznością powiedział Leroix. - Człowiek nigdy nie wie, czym się to wszystko skończy.

- A według mnie to wszystko jest ohydne. Szczególnie inwersja pamięci. Ja nigdy bym się na to nie zgodził powiedział Kreps do szefa.

- Nie musi pan. Nikt nigdy panu tego nie zaproponuje! - Tylko tego mi brakowało! Stworzył pan kastę nieśmiertelnych i tańczy pan wokół nich na tylnych łapach.

Leroix zamknął oczy.

- Stanowi pan dla mnie zagadkę, Kreps. Czasami boję się pana.

- A cóż we mnie takiego straszego?

- Ograniczoność.

- Dziękuję Panu.

- Minus sześć - powiedziała siostra.

- Wystarczy. Proszę przełączyć na regenerację.

Na suficie sali operacyjnej eksplodowały fioletowe plamy światła.

- Proszę dać sprzężenie zwrotne na matrycę kontrolnego wariantu programu.

- Dobrze - odpowiedział Kreps.

- Dziedziczna podatność na chorobę - powiedział Leroix. - Nie lubię mieć do czynienia z takimi rzeczami.

- Ja również - dodał Kreps. - Zresztą w ogóle nie podoba mi się to wszystko. Komu to potrzebne?

- Niech pan powie, Kreps, czy znany jest panu taki termin, jak walka o istnienie?

- Owszem. Uczyłem się o tym w dzieciństwie.

- Nie to miałem na myśli - przerwał mu Leroix. - Ja mówię o walce o istnienie całego biologicznego gatunku nazwanego w przeszłości Homo sapiens.

- I dlatego trzeba restaurować stuletnie monstra?

- Ależ pan jest tępy, Kreps? Ile ma pan lat?

- Trzydzieści.

- A ile lat pracuje pan jako fizjolog?

- Pięć.

- A przedtem?

Kreps wzruszył ramionami.

- Wie pan nie gorzej ode mnie.

- Uczył się pan?

- Uczyłem się.

- Czyli dwadzieścia pięć lat wzięło w łeb. A przecież, by sobą coś przedstawiać, musi pan jeszcze zostać matematykiem, cybernetykiem, biochemikiem, biofizykiem krótko mówiąc - ukończyć jeszcze cztery wydziały uniwersytetu. Niech pan policzy, ile będzie miał pan wtedy lat. A ile lat pójdzie na zdobycie tego, co skromnie nazywa się doświadczeniem, a co w istocie jest sprawdzoną przez życie umiejętnością prawdziwego naukowego myślenia? Twarz Krepsa pokryła się czerwonymi plamami.

- A więc uważa pan?...

- Nic nie uważam. Jako pomocnik zupełnie mnie pan urządza, ale pomocnik jako taki niewiele jest wart. Nauce potrzebni są kierownicy; wykonawcy zawsze się znajdują. Zmieniają się warunki. Iin dalej, tym więcej problemów, problemów subtelnych, nie cierpiących zwłoki, problemów, od których, być może, zależy samo istnienie ludzkiego . gatunku. A życie nie czeka.

Przez cały czas nas pogania pracuj, pracuj, z każdym rokiem pracuj coraz więcej, coraz intensywniej, coraz produktywniej, gdyż inaczej zastój, inaczej degradacja, a degradacja to śmierć.

- Boi się pan, że przegra ten wyścig? - zapytał Kreps.

Ironiczny uśmiech musnął wąskie usta Leroixa.

- Chyba nie myśli pan, Kreps, że niepokoi mnie, który z systemów zatriumfuje na tym najlepszym ze światów? Ja znam swoją cenę. Zapłaci ją każdy, u kogo zgodzę się pracować.

- Uczony-lancknecht?

- A dlaczegoż by nie? Jak każdy honorowy najemnik jestem wierny sztandarom, pod którymi służę.

- W takim razie niech pan mówi o losie Donomagi, a nie całej ludzkości, i przyzna się, że...

- Wystarczy, Kreps! Nie chcę wysłuchiwać wyświechtanych sentencji. Lepiej niech pan powie, dlaczego kiedy odtwarzamy człowiekowi mięsień sercowy, regenerujemy wątrobę, odmładzamy organizm, to wszyscy są zachwyceni; to ludzkie, to humanitarne, to największe zwycięstwo rozumu nad siłami przyrody. Ale wystarczy, żebyśmy sięgnęli ciut głębiej, a typy takie jak pan zaraz podnoszą krzyk: Och! Uczonemu zinwersowano pamięć. Ach! Błuzniercze operacje! Ach!... Niech pan nie zapomina, że nasze doświadczenia kosztują kupę pieniędzy. Powinniśmy wypuszczać stąd naprawdę zdolnych do pracy uczonych, a nie odmłodzonych staruszków, którzy zniedołężnieli umysłowo.

- Dobrze - powiedział Kreps - może i ma pan rację. Nie taki diabeł straszny...

- Szczególnie kiedy można mu dać mózg anioła uśmiechnął się Leroix.

Rozległ się dzwonek zegara.

- Dwadzieścia minut - powiedziała beznamiętnie siostra.

Kreps podszedł do maszyny.

- Na matrycy kontrolnego programu - zera.

- Wspaniale! Proszę wyłączyć generatory. Podnosimy temperaturę - o stopień na minutę.

Czas usunąć narkozę.

Ogromny łaskawy świat znów wyłaniał się z otchłani niebytu. Był on we wszystkim : w przyjemnie chłodzącym ciałem regeneracyjnym roztworze, w cichym śpiewie transformatorów, w gorącej pulsacji krwi, w zapachu ozonu, W matowym świetle lamp. Otaczający świat zaborczo wkradał się w budzące się ciało, wspaniałały, zwykły i wiecznie nowy świat. Klarens podniósł głowę. Dwie czarne sylwetki w długich do pięt fartuchach pochyliły się nad wanną.

- No i jak tam, Klarens? - zapytał Leroix.

Klarens przeciągnął się.

- Wspaniale! Czuję się tak, jakbym powtórnie się narodził.

- Bo tak też jest - wymamrotał Kreps.

Leroix uśmiechnął się.

- Chciałoby się poskakać, co?

- Jaki ogromny przyływ sił! Gotów jestem przewracać góry.

- Jeszcze pan zdąży - twarz Leroixa zrobiła się poważna. - A teraz pod prysznic i na inwersję.

... Kto powiedział, że zdrowy człowiek nie czuje swego ciała? Bzdura. Nie ma większej przyjemności od czucia rytmu własnego serca, drżenia przepony, powietrza w nozdrzach przy każdym wdechu. Odpierania, ot tak sobie, każdą komórką młodej elastycznej skóry uderzeń wylatującej z prysznicia wody i poprychiwania jak silnik pracujący na jałowym biegu, silnik, w którym tkwią ogromne nie wykorzystane rezerwy mocy. Do diabła, ależ to przyjemne! A jednak w przeciągu pięćdziesięciu lat technika dokonała ogromnego kroku naprzód. Czyż można porównać poprzednią regenerację z tą? Wtedy po prostu go podłatano, a teraz... Ach, jak dobrze! To, co zrobili z Elzą, to wprost cud. Szkoda tylko, że nie zgodziła się na inwersję. Kobiety zawsze żyją przeszłością, przechowują wspomnienia jak pamiątki. Po cóż taszczyć ze sobą ten niepotrzebny

balast? Całe życie to przyszłość. Kasta nieśmiertelnych, nieźle pomyślane! Ciekawe, co będzie po inwersji? Mówiąc szczerze ostatnimi czasy mózg pracował marnie, ani jednego artykułu w tym roku. Sto lat to nie żarty. To nic, jeszcze się przekonają, na co stać starego Klarena. To był doskonały pomysł, by zjawić się przed Elzą w dniu ich siedemdziesiątej piątej rocznicy odmłodzonym nie tylko fizycznie, ale i duchowo...

- Wystarczy, Klarens. Leroix czeka na pana w gabinecie inwersji. Proszę się ubierać! - Kreps podał Klarensowi gruby włochaty szlafrok.

W przód - w tył, w przód - w tył - pulsuje prąd w obwodzie rezonującym. Strunień elektronów zrywa się z powierzchni rozżarzonej nici i mknie w próżni rozpędzony polem elektrycznym. Stop! Na siatkę został podany ujemny potencjał. Niewyobrażalnie krótka przerwa i znów ku anodzie rwie niecierpliwy rój. Został nadany rytm, rodzący w kryształach kwarcu niedostępne dla ucha dźwiękowe vibracje, dziesiątki razy cieńsze od pisku komara. Po srebrnym druciku biegną nieme fale ultradźwięku i metalowy kleszcz wpija się w skórę, przechodzi przez czaszkę. Dalej, dalej, w największą świętość, w największy cud przyrody zwany mózgiem.

Oto ona - tajemnicza szara masa, lustro świata, siedlisko gorczy i radości, nadziei i rozczarowań, genialnych pomysłów i błędów.

Leżący człowiek patrzy w okno. Lustrzane szyby odbijają ekran z gigantycznym obrazem jego mózgu. Widzi świecące trasy mikroskopijnych elektrod i ręce Leroixa na pulpicie. Spokojne, pewne ręce uczonego. Dalej, dalej, rozkazują te ręce. Jeszcze pięć milimetrów. Ostrożnie! Tu jest naczynie krwionośne, lepiej je obejść.

Klarensowi zdrętwiała noga: Porusza się, aby zmienić pozycję.

- Spokojnie, Klarens - głos Leroixa jest przygłuszony. Proszę się nie ruszać jeszcze przez kilka minut. Mam nadzieję, że nie odczuwa pan bólu?

- Nie. - Jaki ból, skoro wie, że ta szara masa, analizator wszystkich rodzajów bólu,

pozbawiony jest czucia.

- Zaraz zaczniemy - mówi Leroix. - Ostatnia elektroda. Teraz zaczyna się najważniejsze.

Dwieście elektrod zostało podłączonych do urządzenia rozstrzygającego. Odtąd człowiek i maszyna tworzą jedną całość.

- Napięcie! - rozkazuje Leroix. - Niech się pan ułoży jak najwygodniej, Klarens.

Inwersja pamięci. Aby, tego dokonać, maszyna powinna spenetrować wszystkie zakamarki ludzkiego mózgu, uszeregować nieskończoną liczbę wspomnień, pojąć to, co tkwi w podświadomości, i zdecydować, co usunąć, a co pozostawić.

Na pulpicie zapala się zielona lampa. Przez korę mózgową płynie prąd.

... Małeńki chłopczyk stoi zmieszany nad rozbitym słoikiem konfitur, brązowa, gęsta ciecz rozplywa się po dywanie... Stop! Teraz kompleks doznań zostanie rozłożony na elementy składowe i porównany z programem. Co tam takiego? Strach, zmieszanie, pierwsze zetknięcie z nietrwałością otaczającego świata. Usunąć. Cichuteńko szczeka przekaźnik. Do mózgu dociera impuls elektryczny i prądy nerwowe przestają cyrkulować na tym odcinku. pamięć została oczyszczona dla znacznie ważniejszych szczegółów.

... Wataha uczniów wybiega na ulicę. O czymś szepczą. W centrum - dryblas z rudą nie uczesaną szopą włosów na głowie i odstającymi uszami. Jak trudno jest udawać, że człowiek wcale się nie boi tej hałastry. Nogi zdają się być zrobione z waty, żołądek podchodzi do gardła. Chce się biec. Oni są coraz bliżej. Złowieszcze milczenie i triumfująca gęba z odstającymi uszami. Pozostały dwa kroki. Uderzenie w twarz...

Usunąć! Szczęk, szczęk, szczęk.

Brzeg rzeki, na wodzie tańczące pływaki. Czarny cień. Noga w znoszonym trzewiku. Płynące z prądem wędkę. Czerwona mgła przed oczyma. Uderzenie pięścią w zniechęconą mordę, drugie, trzecie. Pokonany, jęczący wróg, rozmazujący krew na twarzy...

Milisekundy na analizę. Zostawić. Wiara we własne siły i radość zwycięstwa potrzebne są uczonemu nie mniej niż bokserowi na ringu.

... Odblask ognia na wierzchołkach świerków. Rozgrzane winem i młodością twarze. Snop iskier wylatujący z ogniska; gdy dorzucą się do niego polana. Trzask ognia i pieśń "Gwiazda miłości na nieboskłonie", twarz Elzy. "Chodźmy, Klarens. Łaknę ciszy". Szelest suchych liści pod nogami. Biały płaszcz na tle pnia. "Może jednak zdecydujesz się mnie pocałować, Klarens?" Gorzki zapach mchu o świcie. Śniadanie w maleńkiej podmiejskiej restauracyjce. Gorące mleko z chrupiącymi bułkami. "Teraz to już na zawsze, prawda, kochany?" Zapalają się i gasną lampki na pulpicie. Miłość do kobiety - to dobro; Pobudza wyobraźnię. Resztę usunąć. Zbyt wiele połączeń nerwowych zajmują te brednie. Szczęki szczęk. Wszystko sprowadzone do rozmiarów fotografii w rodzinnym albumie: "Biały płaszcz na tle pnia. Może jednak zdecydujesz się mnie pocałować, Niewidoczny promień miota się po komórkach elektronowego komutatora, przeszukuje wszystkie zakamarki ludzkiej duszy. Co tam jeszcze? Napięcie na trzydziestą drugą parę elektrod. Zostawić, usunąć, zostawić, usunąć, usunąć, usunąć, szczęk, szczęk, szczęk.

... Pierwszy wykład, czarne ubranie starannie wyprasowane przez Elzę. W niebieskich oczach maskowany niepokój. "Ani puchu, ani pióra, najdroższy". Amfiteatr sali wykładowej. Badawcze, kpiące twarze studentów. Ochrypli, leciutko rwący się z początku głos. Wprowadzenie w teorię funkcji kompleksowej zmiennej. Otwarte usta chłopca w pierwszym rzędzie. Stopniowo cichnąca wrzawa. Stukot kredy o tablicę. Radosna pewność, że wykład idzie dobrze. Oklaski, gratulacje kolegów. Jak dawno temu to było! Siedemdziesiąt lat temu. Dwudziestego września...

Szczęk, szczęk. Pozostała tylko data i krótki konspekt wykładu. Dalej, dalej.

... "Popatrz : to nasz syn. Prawda, że jest do ciebie podobny?" Bukiet róż u wezglowia łóżka.

Jasnowłosa sprzedawczyni sama mu je wybrała. "Kobiety lubią ładne kwiaty, jestem pewna, że będą się jej podobać".

Szczęk, szczęk. Precz z niepotrzebnymi wspomnieniami obciążającymi pamięć. Mózg matematyka powinien wolny być od sentymentalnych bzdur.

... Przerażliwy, zwierzęcy krzyk Elzy. Kondolencyjne telegramy, telefony, tłum reporterów na schodach. "Cały świat dumny jest z bohaterskiego czynu waszego syna". Na pierwszych stronach gazet - obramowana czarną obwódką fotografia młodzieńca w workowatym kombinezonie, stojącego przy trapie rakiety. Milczący tłum w kościele. Szczupła sylwetka kapłana. "Wieczna pamięć zdobywcom kosmosu". Zapalają się i gasną lampki na pulpicie. Mkną ładunki po liniach ośrodków pamięci, do maksimum obciążone są bloki obwodów logicznych. Raz po raz otrzymany wynik porównywany jest z programem i znów logiczna analiza.

- Co tam się stało? - wzrok Leroixa skierowany jest na pulpit. Zdaje się, że maszyna nie potrafi dokonać wyboru.

- Nareszcie! - oddycha z ulgą Leroix usłyszawszy znajome szczęknięcie przekaźnika. - Niech pan jutro sprawdzi, Kreps, co oni tam sknócili w programie.

Szczęk, szczęk, szczęk. "Wieczna pamięć zdobywcom kosmosu". Szczęk. Jeszcze jedna komórka pamięci wolna. Miliony analiz na minutę. Wydarzenia i daty, twarze znajomych, przeczytane książki, urywki filmów, gusta i przyzwyczajenia, stałe fizyczne, tensory, operatory, formuły. formuły, formuły. Wszystko to trzeba doprowadzić do porządku, sklasyfikować, rzeczy niepotrzebne usunąć. Szczęk, szczęk. Mózg matematyka powinien dysponować ogromną zawodową pamięcią. Trzeba zapewnić jej określoną pojemność, przynajmniej na pięćdziesiąt lat. Kto wie, co przyniesie przyszłość? Precz z wszelkim balastem.

Szczęk, szczęk.

Tańczą krzywe na ekranie oscylografów. Leroix jest niezadowolony. Zdaje się, że trzeba będzie na tym skończyć, mózg jest zmęczony.

- Dostyć! - rozkazuje Krepsowi. - Proszę wezwać sanitariuszy, niech zabierają go na salę.



Kreps naciska dzwonek. W czasie gdy sanitariusze biorą się za nieprzytomne ciało, on wyłącza aparaturę.

- To wszystko?

- Wszystko - odpowiada Leroix. - Zmęczyłem się jak Pan Bóg w szóstym dniu stworzenia świata. Trzeba się trochę rozerwać. Wybierzmy się do jakiegoś kabaretu, Kreps. Panu również nie zaszkodzi niewielki wstrząs po takiej pracy.

Raz, dwa, trzy, lewa, lewa. Raz, dwa, trzy. Doskonała rzecz taki marsz! Wdech, pauza, wydech, pauza.

Puk, puk, puk, lewy przedsionek, prawa komora, prawy przedsionek, lewa komora. Raz, dwa, trzy, lewa, lewa. Lekkim zamaszystym krokiem Klarens idzie ulicą. Wdech, pauza, wydech, pauza.

Cóż za różnorodność zapachów, odcieni, kształtów. Odnowiony mózg łapczywie chłonie otaczający go świat. Gorąca krew pulsuje w tętnicach, rozbiega się po labiryncie naczyń krwionośnych, by znów wrócić do swoich krwiobiegów. Puk, puk, puk. Mały krwiobieg, duży krwiobieg, prawy przedsionek, lewa komora, lewy przedsionek, prawa komora, puk, puk. Wdech, pauza, wydech, pauza.

Stop! Klarens jest oszołomiony. Na zielonym tle listowia purpurowe płatki wydzielające niezwykły zapach. Opuszcza się na kolana i, jak zwierzę, obwąchuje-krzak.

W oczach idącej w jego stronę dziewczyny maluje się ironia i mimowolny zachwyt. Bardzo przystojny jest ten człowiek klęczący przed kwiatami.

- Zgubił pan coś? - pyta uśmiechając się.

- Nie, po prostu chcę zapamiętać zapach. Nie wie pani, jak się nazywają te... - A niech to !

Zapomniał nazwę. - Te... rośliny?

- Kwiaty - poprawia dziewczyna. - Zwykle czerwone róże. Czyżby nigdy ich pan nie widział?

- Nie, nie widziałem. Dziękuję. Teraz już będę pamiętać: czerwone róże. - Podnosi się i,

ostrożnie dotknąwszy palcami płatków, idzie dalej. Raz, dwa, trzy, lewa, lewa. Dziewczyna ze zdziwieniem patrzy w ślad za nim. Dziwak, a szkoda. Mógłby być nieco bardziej uprzejmy.

"Róże, czerwone róże" - powtarza maszerujący Klarens...

Klarens otwiera na oścież drzwi sali wykładowej. Dziś odbywa się tu seminarium.

Przypominający starego mopsa Levi stoi przy tablicy zapisanej równaniami. Odwraca się i macha do

Klarensa ręką, w której ściska kredę. Wszyscy patrzą na Klarensa. W drzwiach tłoczą się studenci.

Przyszli tu rzecz jasna nie dla Leviego. Bohaterem dnia jest Klarens, przedstawiciel kasty nieśmiertelnych.

- Przepraszam za spóźnienie - mówi Klarens zajmując swoje miejsce. - Proszę kontynuować.

Szybkim spojrzeniem obrzuca tablicę. Tak, tak. Staruszek wziął się chyba za udowadnianie teorii Langrena. Ciekawe. Levi przechodzi do następnej tablicy.

Klarens nie zauważa skierowanych na niego oczu. Coś oblicza w pamięci. Jest teraz napięty

jak koń wyścigowy przed startem. "Zgadza się ! Zresztą lepiej poczekać, nie śpieszyć się, sprawdzić jeszcze raz. Tak, doskonale !"

- Wystarczy!

Lewi odwraca się zdziwiony.

- Pan coś powiedział, Klarens?

Na ustach Klarensa oślepiający, bezlitosny uśmiech. - Powiedziałem, wystarczy. W drugim członie jest nie ujawniona nieokreśloność. Po rozwiązaniu poszczególnych pochodnych pańskie równanie przekształca się w tożsamość.

Podchodzi do tablicy, niedbale ściera wszystko to, co napisał Levi, wypisuje kilka linijek i zamazyście podkreśla wynik. Twarz Leviego upodabnia się do pieczonego jabłka, które zbyt późno wyjęto z piekarnika. Przez kilka minut patrzy na tablicę.

- Dziękuję, Klarens. Zastanowię się, co z tym można zrobić. Teraz Klarens zada decydujący

cios. W sali wykładowej panuje absolutna cisza.

- Najlepszą rzeczą, jaką może pan zrobić, to nie brać się za coś, co jest ponad pańskie siły.

Nokaut.

... Znów idzie ulicą. Raz, dwa, trzy, lewa, lewa, wdech, pauza, wydech, pauza. Pokonany, jęczący wróg, rozmazujący krew na twarzy. Pieczone jabłko, które zbyt późno wyjęto z piekarnika.

Wiara we własne siły i radość zwycięstwa potrzebne są uczonemu nie mniej niż bokserowi na ringu.

Raz, dwa, trzy, wdech, pauza, wydech, pauza; raz, dwa, trzy, lewa, lewa.

- Olaf!

W drzwiach promieniejąca, olśniewająca Elza. Ależ ona ładna, młoda Afrodyta zrodzona w roztworze regeneracyjnej wanny.

Biały płaszcz na tle pnia. "Może jednak zdecydujesz się mnie pocałować, Klarens?"

- Witaj, najdroższa - to zupełnie inny pocałunek niż te, które wymieniają małżonkowie w dniu brylantowych godów. - No, pokaż się. Wspaniale wyglądasz. Obym tylko nie musiała wynajmować strażników ciała, by chronili cię przed studentkami.

- Bzdura, mając taką żonę... - Puść, rozburzysz mi fryzurę.

Idzie przez pokoje, bierze z szafy książki, przygląda się świecidełkom na stoliku Elzy, z zaciekawieniem ogląda meble i ściany. Wszystko to jest tak zwyczajne, a jednocześnie nieznanne. Jak gdyby widziane kiedyś we śnie.

- Nowa pasja? - pyta patrząc na fotografię młodzieńca w workowatym kombinezonie, stojącego przy trapie rakiety. W oczach Elzy strach.

- Co ty mówisz?! Olaf! Klarens wzrusza ramionami.

- Nie zaliczam się do ludzi, którzy są zazdrośni o znajomych żony, ale osądź sama, zwyczaj wieszania nad łóżkiem fotografii amantów może się komuś wydać co najmniej dziwny. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Dlatego, że... .dlatego, że to Henry... nasz syn... Boże! Czy ty naprawdę niczego nie pamiętasz?!

- Wprost przeciwnie. Wszystko doskonale pamiętam... ale myśmy nigdy nie mieli dzieci.

Jeśli jednak chcesz, żeby ta fotografia nadal tu wisiała, można wymyślić coś mądrzejszego.

- O Boże!

- Nie trzeba, kochanie - Klarens pochylił się nad szlochającą żoną. - Już dobrze, niech sobie wisi, jeżeli tak ci się podoba.

- Wyjdź! Na Boga, natychmiast wyjdź, Olaf. Zostaw mnie samą, bardzo cię proszę, wyjdź!

- Dobrze. Będę w gabinecie. Kiedy się uspokoisz, zawołaj mnie...

Wydarzenia i daty, twarze znajomych, przeczytane książki, urywki filmów, stałe fizyczne, tensory, operatory, formuły. Biały płaszcz na tle pnia. "Może jednali zdecydujesz się mnie pocałować, Klarens?" Czerwone róże, teoria Langrena, pieczone jabłko, które zbyt późno wyjęto z piekarnika, radość zwycięstwa!... Nie, on stanowczo nie rozwinie, co też strzeliło Elzie do głowy...

Odświętnie nakryty stół. Obok butelki starego wina, weselny tort. Dwa gołąbki z kremu trzymają w dziobach cyfrę 75. - Popatrz, co przygotowałam. To wino też ma siedemdziesiąt pięć lat.

Chwała Bogu, zdaje się, że Elza uspokoiła się. Ale dlaczego siedemdziesiąt pięć?

- Bardzo ładnie, ale twoje obliczenia nie są zbyt ścisłe. Ja mam nie siedemdziesiąt pięć lat, tylko sto. Ty, o ile pamiętam, też.

Znów to dziwne, zaniepokojone spojrzenie.

Odcina duży kawałek tortu i nalewa do lampek wino.

- Za nieśmiertelność!

Trącają się kieliszkami.

- Chciałbym - mówi Klarens przeżuwając tort - byś w tym roku koniecznie przeszła inwersję.

Masz przeciążony mózg. Wymyślasz przez to nieistniejące wydarzenia, mylisz daty, jesteś zbyt

nerwowa. Chcesz, to zadzwonię jutro do Leroixa? To taka błaha operacja.

- Olaf - oczy Elzy błagają, wyczekują, rozkazują - dziś jest dwudziestego trzeciego sierpnia, naprawdę nie pamiętasz, co wydarzyło się tego dnia równo siedemdziesiąt pięć lat temu?

... Wydarzenia i daty, twarze znajomych, tensory, operatory, formuły, formuły, formuły...

- Dwudziestego trzeciego sierpnia? Zdaje się, że tego dnia zdałem ostatni egzamin. No oczywiście! Egzamin u Elgarta, trzy pytania, pierwsze...

- Przestań !!!

Elza wybiega z pokoju przyciskając do oczu chusteczkę. Tak... - Klarens nalał sobie jeszcze trochę wina. - Biedna Elza! Za wszelką cenę trzeba ją jutro zawieźć do Leroixa. Kiedy Klarens wszedł do pokoju, Elza już leżała w łóżku. - Uspokój się, kochanie. Naprawdę nie warto było płakać z tego powodu - objął drgające ramiona żony.

- Och, Olaf! Co oni z tobą zrobili? Jesteś jakiś obcy, sztuczny! Czemu się na to zgodziłeś? Zapomniałeś, wszystko zapomniałeś!

- Po prostu przemęczyłaś się. Nie trzeba było nie zgadzać się na inwersję. Twój mózg jest przeciążony, sto lat to przecież nie żarty.

- Boję się ciebie takiego...

"Może jednak zdecydujesz się mnie pocałować, Klarens?"... Złowieszcze tchnienie nieszczęścia zatruwało zapach róż, wikłało zgrabne rzędy równań. Nieszczęście wchodziło w sen, cicho stąpając miękkimi łapami. Było ono gdzieś zupełnie blisko.

Nie otwierając oczu Klarens położył rękę na ramieniu żony.

- Elza !

Usiłował podnieść zdrętwiałe powieki, rozgrzać swym oddechem martwe ciało posągu, wyjąć z zeszywniałych palców maleńki flakonik.

- Elza!!!

Nikt nie może przywołać do życia kamienia. Klarens złapał za słuchawkę telefonu...

- Otrucie morfiną - powiedział lekarz wkładając płaszcz. - Śmierć nastąpiła około trzech godzin temu. Akt zgonu położyłem na książce telefonicznej, tam też zapisałem numer telefonu zakładu pogrzebowego. Policję zawiadomię sam. Fakt popełnienia samobójstwa nie budzi wątpliwości. Myślę, że nie będą pana niepokoić.

- Elza ! - klęczał przy łóżku gładząc dłonią zimną białą głowę. - Przebacz mi, Elzo ! Boże, jakim ja byłem kretyńcem ! Sprzedać własną duszę! Po co? Aby stać się maszyną liczącą, aby móc wyśmiać tego bałwana Levi!...

Pieczone jabłko, które zbyt późno wyjęto z piekarnika. Radość zwycięstwa, teoria Langrena, tensory, operatory, formuły, formuły... tego bałwana...

Klarens wyciągnął rękę i wziął ze stolika biały arkusik papieru.

O dwunastej zadzwonił telefon. Klęczący Klarens zdjął słuchawkę

- Słucham.

- Hallo, Klarens! Mówi Leroix. Jak pan spędził noc?

- Jak spędziłem noc? - powtórzył Klarens rzuciwszy okiem na akt zgonu pokryty matematycznymi symbolami. Doskonale.

- Samopoczucie?

- Wyborne! - równe wiersze równań pokrywały strony książki telefonicznej. - Niech pan zadzwoni do mnie za dwie godziny, teraz jestem bardzo zajęty. Chyba udało mi się znaleźć dowód teorii Langrena.

Leroix uśmiechnął się i odłożył słuchawkę.

- No i jak? - zapytał Kreps.

- Wszystko w porządku. Operacja udała się. Nie ma niepokojących objawów.

przekład : Michał Siwiec